



Natasha Oakley



Weselna wróżba

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Człowiek jest najbardziej samotny w tłumie... Tego wieczoru Eloise Lawton pojęła mądrość starego powiedzenia lepiej niż kiedykolwiek dotąd.

Marzyła, by uciec do domu, zanurzyć się w gorącej wodzie i zapomnieć o wszystkich kłopotach. Tymczasem uczestniczyła w nudnych rozmowach o niczym. Potworna paplanina, myślała zde gustowana.

Rozejrzała się dyskretnie. Wszyscy sprawiali wrażenie przyczajonych dzikich zwierząt, walczących o pozycję w stadzie. Każdy obserwował każdego, jakby czyhając na najdrobniejszy błąd przeciwnika. Żałosne, pomyślała. Naprawdę czuła jednak coś dużo silniejszego niż zwykle rozzalenie. Pragnęła stanąć pod prysznicem i silnym strumieniem wody zmyć z siebie narastającą odrazę do tych ludzi.

Była jednak w pracy, która zapewniała jej utrzymanie i pozwalała spłacać kredyt hipoteczny. W przeciwieństwie do większości obecnych, nie była dziedziczką bogatego rodu. Mogła tylko zacisnąć zęby i próbować przetrzymać ten wieczór.

Zerknęła dyskretnie na zegarek, żeby ocenić, ile jeszcze czasu będzie zmuszona tu tkwić. Nie tak dawno podobne przyjęcia napełniały ją radością, ale teraz...

Cóż, teraz wszystko wygląda inaczej, pomyślała. Spontaniczna decyzja o przejrzeniu rzeczy zmarłej matki sprawiła, że Eloise zmieniła sposób patrzenia na wiele spraw.

Minęło przecież sześć lat. Wydawało się jej, że postępuje słusznie. Nawet w najmniejszym stopniu nie przeczuwała, że otworzy najprawdziwszą puszkę Pandory. Kiedy jednak już do niej zajrzała...

Zbyt wiele wspomnień wypełniło jej serce i nie pozwalało spokojnie spać. Niezaleczone rany otworzyły się i sprawiały dojmujący ból. Ponownie przeczytała

list, który mama zostawiła razem z testamentem. Tym razem rozumiała go już trochę inaczej.

Rozejrzała się po wielkiej sali. Kryształowe żyrandole, misterne bukiety białych orchidei i czerwonych róż wypełniające wnętrze odurzającym zapachem, wystrzałowe kreacje, wyszukane trunki... Wszystko było idealne i piękne. Ale najbardziej czuć tu jednak pieniądze, wielkie pieniądze, przemknęło jej przez głowę. Jej ta bajkowa sceneria kojarzyła się raczej z piekłem. Ostentacyjna demonstracja bogactwa. Nic więcej. Co ja tu u licha robię? - pytała się w myślach.

Kompletnie przestało ją obchodzić, które kolory czy materiały są modne. Wiedziała, że i tak następnego dnia bez trudu przygotuje artykuł, ale dziś patrzyła na wszystko z niechęcią.

Zbyt wiele myśli kłębiło się jej w głowie. Zbyt wiele gniewu czuła.

- Spójrz tam.

Eloise odwróciła głowę.

- Nie, kochanie. - Szefowa magazynu „Image” złapała ją za ramię. - Tam, pod alabastrowym filarem. To Bernadette Ryland.

Eloise grzecznie odwróciła głowę w drugą stronę.

- Ta w żółtym. To znaczy w czymś podobnym do żółtego. Rany boskie, jakąż to wizję miał jej stylistka, co? Wygląda jak uduszony kurczak. Koszmarne. Mam nadzieję, odpukać, że mi się to nie przyśni.

Cassie wcale nie żartowała. Widok był tym bardziej przykry, że kiedyś aktorka była rzeczywiście kobietą o olśniewającej urodzie. Później skusiła się na operacje plastyczne i od tej pory jej twarz miała wiecznie zdziwiony wyraz. A dzisiejszy strój... Zdecydowanie nie do podrobienia, pomyślała złośliwie Eloise.

Cassie ponownie uniosła kieliszek do ust.

- Lady Monroe powinna jeszcze popracować nad fryzurą. Nie sądzisz, że teraz wygląda jakoś tak workowato? Och... - przerwała na chwilę. - Och, to Jeremy

Norland! I to z Sophią Westbrooke. Pierwsze wydarzenie tego wieczora naprawdę godne uwagi.

- Jeremy Norland? - zdziwiła się uprzejmie Eloise, choć sama już zdążyła go zauważyć.

Widziała go wcześniej na kilku zdjęciach, ale w rzeczywistości wyglądał atrakcyjniej, niż się spodziewała.

- Przy drzwiach - rzuciła Cassie. - Znasz go?

- Nie. - Eloise mimowolnie zacisnęła palce na nóżce kieliszka. - Po prostu słyszałam o nim - wyjaśniła, starając się, by jej głos brzmiał naturalnie.

- Jak my wszyscy, czyż nie? - Cassie Sinclair uniosła dłoń, by pomachać kobiecie w eleganckiej szyfonowej kreacji. - To siostra księcia Odell - wyjaśniła szeptem. - Wyszła za zwykłego śmiertelnika. Zachowała oczywiście tytuł lady i nie pozwala nikomu zapomnieć o swoim pochodzeniu - dodała i zaczęła się rozglądać za kolejnym kieliszkiem szampana.

Eloise stała jak sparaliżowana. Jeremy Norland. Tutaj. Nie była w stanie oderwać od niego oczu i myśleć o czymkolwiek innym.

Pasierb samego wicehrabiego Pulborough był tutaj. Ta myśl jak opętana krążyła jej po głowie. Tutaj. W Londynie. Stał sobie, ot tak po prostu, przy potężnych dębowych drzwiach. A przecież tyle się wydarzyło.

Cassie podążyła za wzrokiem Eloise.

- Wspaniały, prawda? Perfekcyjnie wyćwiczone ciało, rewelacyjny strój. Jakże niezwykle seksownie wygląda jego tyłek w tych spodniach, nie sądzisz?

- Najwyraźniej on doskonale o tym wie - odparła oschle Eloise, lustrując uważnie sposób, w jaki Jeremy Norland patrzył na Sophię Westbrooke.

- Nie możesz mieć do niego pretensji o to, że wie, jak działa na kobiety. Styl, pieniądze i znajomości. Nawet ja, ze swoją skromną wiedzą, nie mam wątpliwości - ta mieszanka jest z reguły zabójcza.

Eloise zmusiła się do uśmiechu.

- Wydawało mi się, że on nie przepada za Londynem - zauważyła.

- W rzeczy samej. Mieszka w Sussex, w posiadłości ojczyma. Robi tam jakieś krzesła, stoły i inne meble.

- Czytałam o tym kiedyś - odparła Eloise i upiła łyk szampana.

- Musiałabyś wziąć kolejny kredyt, żeby kupić choćby jedną nogę tych jego mebli. Na suknię Sophii też potrzebna by była pożyczka. Wiesz, kto ją projektował?

- Yusef Atta. Dobrze zapowiadający się projektant. Jego specjalnością są hafty na szyfonie.

- Wart artykułu?

- Być może - zgodziła się Eloise.

Wciąż nie odrywała oczu od pary przy drzwiach. Sophia nie może mieć więcej niż dziewiętnaście lat, pomyślała. Jeremy miał trzydzieści cztery, może trzydzieści pięć. Nie pamiętała teraz dokładnie, choć artykuł w internecie na jego temat przeglądała dosłownie dwa wieczory wcześniej.

Cassie jakby czytała w jej myślach.

- Dopiero co przyleciała ze Szwajcarii. Lada dzień skończy dziewiętnaście lat i stoi tu z Jeremym Norlandem. Cholerna szczęściara.

- Szczęście nie ma tu nic do rzeczy. Wszystko jest zaplanowane odgórnie - skomentowała Eloise.

Cassie zaśmiała się dyskretnie.

- No dobrze, skarbie. Idź, pokręć się trochę i zdobądź dla mnie wszystkie plotki. Tylko bądź ostrożna. Oni gryzą bardzo boleśnie.

Eloise wiedziała, że to wcale nie były żarty. Szkoda, że nikt nie ostrzegł jej matki, gdy dwadzieścia osiem lat temu zaczynała pracę w Coldwaltham Abbey. Była wtedy niewiele starsza niż dziś Sophia Westbrooke, ale Eloise szła o każdy zakład, że losy obu kobiet potoczą się odmiennie.

Rzuciła okiem na szefową. Cassie również niespecjalnie pasowała do tego miejsca, choć trzeba było przyznać, że maskowała się perfekcyjnie. Miała w sobie coś, co sprawiało, że nikt nie śmiał się jej sprzeciwić.

Eloise też wydawała się taka - pewna siebie, zdecydowana, bardzo ambitna. Ale ostatnie czternaście tygodni wywróciło jej życie do góry nogami. Dokładnie rzecz biorąc, poprawiła się w myślach, czternaście tygodni i trzy dni, czyli od dnia, kiedy przytargała do domu te dwie piekielne paczki. Czy ktokolwiek by uwierzył, zastanawiała się, że tak krótki okres może spowodować aż tak radykalne zmiany? Jej wzrok ponownie powędrował w stronę Jeremy'ego Norlanda.

Modelowy przykład człowieka z wyższych sfer. Doskonale skrojony garnitur z materiałów najwyższej jakości był z pewnością szyty na miarę i już na pierwszy rzut oka widać było, że musiał być nieprzyzwoicie drogi.

Jem od urodzenia skazany był na sukces. Pieniądze i możliwości towarzyszyły mu od pierwszych dni na tym świecie. Zdawał sobie z tego sprawę i potrafił to wykorzystać.

Eloise czuła do niego niechęć tak silną i gwałtowną, że sama była zaskoczona.

Norland nachylił się w stronę Sophii, żeby ją pocałować. Eloise przyglądała mu się z niesmakiem. Uważała go za wyjątkowo aroganckiego faceta, który doskonale wiedział, jaki to wywrze efekt na młodziutkiej aktorce. Miała ochotę podejść i powiedzieć mu, co o tym myśli.

Oczywiście na chęciach się skończyło.

Sophia uśmiechnęła się zalotnie i położyła dłoń na ramieniu Norlanda.

W tym samym momencie Eloise uświadomiła sobie, że nie może jej za to winić. Nie zmieniało to jednak faktu, że gniew i nienawiść narastały w niej za każdym razem, gdy czytała list mamy. Spędzanie czasu w pobliżu tych zapatrzonych wyłącznie w siebie ludzi sprawiało jej ból. Nienawidziła ich wielkich domów, służby, koni i charakterystycznego akcentu. Nigdy im nie wybaczy, że zniszczyli

życie jej matki. I jej życie. Nigdy nie będzie na tyle głupia, by zakochać się w mężczyźnie pokroju Jeremy'ego Norlanda.

A jeszcze kilka tygodni temu wszystko wydawało się inne. Dziś czuła do tych ludzi wyłącznie pogardę.

Do Jema Norlanda, uprzywilejowanego pasierba człowieka, którego darzyła iście atawistyczną nienawiścią - Laurence'a Alexandra Milтона, wicehrabiego Pulborough.

Jej ojca.

Ojca!?

To brzmi jak żart, pomyślała. Ten palant nie był nikim innym jak zwykłym dawcą spermy.

Kiedy sześć lat temu po raz pierwszy dowiedziała się o tym, była zbyt zaszokowana, by naprawdę się przejąć. Być może nawet nie dotarło to do niej. Śmierć matki była wystarczającym wstrząsem. Wicehrabia Pulborough, którego geny ponoć odziedziczyła, nic dla niej nie znaczył. Myślała wtedy tylko o jednym - że nie będzie mogła razem z matką świętować ukończenia studiów.

Dlatego też spakowała rzeczy matki i przez kolejne sześć lat prawie nie wracała do tej sprawy.

Sześć lat, uświadomiła sobie. Czas leciał szybko. Tyle się wydarzyło w jej życiu. I zawsze były powody, żeby nie zaglądać do rzeczy po mamie. Gdy jednak zmieniła mieszkanie, uznała, że najwyższa pora zrobić porządek z przeszłością.

A list przez te wszystkie lata leżał w pudle. Niczym tykająca bomba.

Czas, jaki upłynął od chwili, kiedy przeczytała go po raz pierwszy, sprawił, że dziś patrzyła na wiele spraw z innej perspektywy. Gdy przeanalizowała wszystko na nowo, ogarnął ją gniew.

Potrafiła sobie wyobrazić, jak wyglądały wydarzenia tamtego lata. Młoda, bardzo naiwna i śmiertelnie zakochana kobieta dała się nabrać. Książę był może i

wspaniały, ale w rezultacie okazał się zwykłą żabą, która pocałunek przyjęła z radością, ale w zamian nie miała ochoty podarować obrączki.

Księżniczka musiała więc resztę życia spędzić na samotnym wychowywaniu córki. Z trudem wiązała koniec z końcem i wiele nocy przepłakała nad niezapłaconymi rachunkami. Za kilka godzin przyjemności płaciła życiem pełnym smutku i cierpienia.

Czy szanowny wicehrabia kiedykolwiek pomyślał o tym, przechadzając się po swojej posiadłości w Sussex? - zastanawiała się wielokrotnie Eloise.

Chciała się tego dowiedzieć. Potrzebowała kilku tygodni na zebranie w sobie odwagi, ale dziś była gotowa do konfrontacji z mężczyzną, który tak okrutnie zdradził jej matkę. I ją samą.

Musiała ochłonać. Podeszła do otwartego okna i zaczerpnęła powietrza. Odległy hałas ulicy mieszał się z muzyką Beethovena.

Coś w niej pękało. Narastające emocje sprawiały jej nieznośny ból. Chciała się rozplakać i głośno poskarżyć światu na okropną niesprawiedliwość, jakiej obie doświadczyły. Matka i ona.

Jeremy Norland przyglądał się uważnie Eloise.

- Hej, Jem, czy ty mnie słuchasz? - spytała Sophia. - Idę z Andrew poszukać jakiegoś stolika.

- Kim jest ta blondynka?

Lord Andrew Harlington zmrużył oczy, by przyjrzeć się kobiecie, o którą pytał Jeremy.

- Długonoga w fioletowym? - upewnił się.

- Dokładnie ta.

Andrew zmarszczył brwi w zamyśleniu.

- Nie mam pojęcia - powiedział po chwili. - A ty, Sophio, rozpoznajesz ją?

- To Eloise - wyjaśniła dziewczyna. - No wiecie, ta z telewizji. Eloise Leyton.

Nie, Lawton - przypomniała sobie. - Ta, która zajmuje się ubraniami.

- To znaczy?

- Prowadzi w telewizji program o modzie... - cierpliwie tłumaczyła Sophia. - Wiesz, jak łączyć kolory i materiały, żeby zawsze być na topie. Muszę przyznać, że jest naprawdę niezła. Zajmuje się również pisaniem dla magazynu „Image”.

- Coś kojarzę - skomentował oschle Jeremy, nie odrywając oczu od kobiety przy oknie.

Blondynka? Przez głowę przemknęła mu myśl, że nie tego się spodziewał. Od matki i przyrodniej siostry słyszał, że Eloise Lawton to najbardziej zajadła i uszczypliwa komentatorka współczesnej mody, dlatego obraz opanowanej, pełnej klasy kobiety zbił go z tropu.

- Czy życzy pan sobie szampana? Jem oderwał wzrok od Eloise.

- Dziękuję - odparł i sięgnął po kieliszek.

Zdawał sobie sprawę, że jego matka zalecałaby ostrożność w działaniu, ale nie potrafił oprzeć się pokusie.

Chciał poznać odpowiedzi na kilka pytań. Dlaczego teraz? Dlaczego Laurence? Jego ojczym był przecież najzacniejszym z ludzi. Niemożliwe, żeby ten głęboko religijny, szlachetny i prawy mężczyzna...

- Śliczna jest, prawda? - przerwała mu Sophia, pojawiając się obok. - Co prawda nie w twoim typie, ale śliczna.

Jeremy spojrzał na szelmowski uśmiech Sophii.

- W rzeczy samej - przyznał bez ogródek.

Eloise Lawton rzeczywiście była piękna. Swoją postawą dawała jednak do zrozumienia, że umie, jeśli zechce, zręcznie korzystać z tego daru. A jeśli zajdzie potrzeba, może być też naprawdę niebezpieczna. Jeremy Norland nie potrafił sobie wyobrazić, jak ktoś tak czarujący i pociągający może być jednocześnie okrutny i bezlitosny.

Jak ktokolwiek mógł wykombinować taki szwindel? I to w takim momencie. Czy ona tak bardzo potrzebuje rozgłosu? Nie dostrzega, że w ten sposób krzywdzi innych ludzi?

Nieświadomy rozbawionych spojrzeń, Jem przeprosił kilka osób i ruszył w stronę miejsca, gdzie stała Eloise. Nie miał pojęcia, co chce jej powiedzieć, ale czuł, że coś musi zrobić.

Po wyrazie ciemnych, brązowych oczu domyślił się, że go rozpoznała. W sumie nie powinien się dziwić. Kobiety takie jak Eloise Lawton bardzo sumiennie przygotowują się do działania i z chirurgiczną precyzją realizują swoje plany.

Trzeba przyznać, pomyślał Jem, że czas wysłania listu wybrała perfekcyjnie. Zrobiła to dokładnie w chwili, kiedy starzejący się wicehrabia był w zasadzie całkowicie bezbronny, a rodzina nie mogła zrobić nic, by go ochronić.

Ja sam, myślał Jeremy, byłbym gotów dosłownie na wszystko dla obrony mężczyzny, który odmienił moje życie. Czuł narastającą złość.

- Jem Norland - powiedział szorstko i wyciągnął rękę.

Zauważył, że zadrzała. Nieudolnie próbowała się jednak uśmiechnąć.

Kiedy tak stali na wyciągnięcie ręki, uświadomił sobie, że Eloise Lawton z bliska wygląda inaczej, niż tego oczekiwał. Miała zmęczone, smutne oczy. Wstrząsnęło to nim i pomyślał, że nigdy więcej nie chciałby widzieć takich emocji w spojrzeniu żadnej kobiety.

Powoli odstawiła swój kieliszek na parapet.

- Eloise Lawton - odparła.

Miała drobną i chłodną dłoń. Zaskoczony przyłapał się na tym, że jej dotyk sprawia mu przyjemność. Szybko jednak oprzytomniał, przypominając sobie, że pozory mylą. Eloise była twardą sztuką, cwaniarą, która uknuła misterny plan mający na celu krzywdę tych, których on kochał.

Wprawdzie sam widział, że na jej akcie urodzenia pole z nazwiskiem ojca było puste, ale w żadnym wypadku wicehrabia Pulborough nie mógł mieć z tym nic wspólnego.

Znał jednak takie kobiety, dążące po trupach do celu. Eloise Lawton szukała po prostu rozgłosu.

Z drugiej strony pewna myśl nie dawała mu spokoju. Być może Eloise Lawton była doskonałą aktorką, ale sprawiała wrażenie osoby zupełnie innej, niż się spodziewał. Niezaprzeczalnie miała klasę i świadomość własnej wartości.

Eloise próbowała się uśmiechnąć, ale wyszedł z tego jedynie niekontrolowany grymas.

- Piszę dla „Image”.

Puścił jej dłoń i rzucił wzrokiem w stronę drzwi.

- Moja przyjaciółka Sophia powiedziała mi, że jesteś prawdziwym ekspertem w dziedzinie kobiecych strojów.

- Och, to za dużo powiedziane. W każdym razie rzeczywiście piszę o modzie.

Pomyślał, że jest bardzo sprytna, odpowiadając w tak dyplomatycznym stylu. Musiał też przyznać, że jest bezsprzecznie piękna. Próbował odgadnąć, co skrywa w środku. Pasję? Ogień?

I chciwość. Czyż nie chodziło jej tylko o pieniądze? - pytał się w myślach. O pieniądze i rozgłos. Zdobyte w dowolny sposób, bez oglądania się na innych.

Ponownie poczuł narastający gniew. Wybrała na ofiarę bezbronного, schorowanego człowieka i oświadczyła, że jest jego córką. Nie potrafiła oczywiście przedstawić żadnych dowodów, ale najwyraźniej wcale jej to nie przeszkadzało.

Zmusił się, by jego głos zabrzmiał naturalnie.

- A telewizja? Sophia mówiła mi, że masz też program w telewizji.

- Och, to był jedynie epizod. Poproszono mnie o mały reportaż na temat brytyjskiego stowarzyszenia twórców filmowych i telewizyjnych, więc skorzystałam z okazji - wyjaśniła.

Przez cały czas nerwowo miętosila pasek od torebki. Pomyślał, że istotnie ma powody do zdenerwowania.

- Chciałabyś zrobić jeszcze coś dla telewizji? - spytał beznamiętnie.

- Nie.

- Dlaczego?

Wzruszyła nerwowo ramionami. Odłożyła torebkę na stolik i sięgnęła po kieliszek.

- Przyznaję, że było to bardzo ekscytujące doświadczenie, ale myślę, że jeden raz wystarczy. Zrobiłam to przede wszystkim z myślą o magazynie, choć oczywiście sama również na tym skorzystałam.

- A to pewnie dużo dla ciebie znaczy?

- Oczywiście. Wystarczył jeden program, by nagle wiele drzwi stanęło przede mną otworem.

Jem patrzył przez chwilę uważnie. Próbował ją rozgryźć i odgadnąć motywy, którymi się kierowała. Przyszła mu do głowy myśl, że Eloise ma gotową do wydania powieść i teraz potrzebuje tylko jakiegoś skandalu, by nagłośnić swoje nazwisko. To mogłoby przekonać jakiegoś wydawcę, że warto w nią zainwestować.

Robiło mu się niedobrze, kiedy o tym myślał.

- Wiesz, chciałabym też pisać o innych rzeczach. Kocham modę, ale... - przerwała i spojrzała przez okno gdzieś w dal.

- Ale chcesz więcej - dokończył za nią.

Odwróciła głowę w jego stronę.

- Czy jest w tym coś złego?

- To zależy, co chcesz osiągnąć i jakimi metodami - odpowiedział, cedząc słowa.

- No, tak. - Zmarszczyła brwi.

Niespokojnie bębniła palcami po kieliszku z szampanem. Jem miał nieprzeniknioną twarz, ale wyczuwała, że nie darzy jej sympatią. Być może

wynikało to jedynie z faktu, że gardził jej pracą. Nie on jeden, pomyślała. Ale może miał również inne powody? - zaniepokoiła się jeszcze bardziej.

Wypiła duży łyk szampana. Nawet nie poczuła smaku. Była już tak zdenerwowana, że równie dobrze mogła pić ocet zamiast tego wytwornego trunku.

Pomyślała, że w ogóle nie powinno jej tu dzisiaj być. Zresztą, dodała w myślach, gdybym wiedziała, że go spotkam, zapewne zostałabym w domu. Wołałabym być przygotowana na takie wydarzenie.

Zauważyła, że nie odrywa od niej oczu. Zastanawiała się, czy zna całą sprawę. Czy ojczym rozmawiał z nim?

- Od matki słyszałem, że znasz mojego ojczyma - ni to stwierdził, ni spytał zniechęca Jeremym.

Zacisnęła dłoń na nóżce kieliszka tak, że o mało jej nie zmiażdżyła. Poczowała krople potu na czole. Teraz już знаła odpowiedzi na swoje pytania. Jeremym wiedział. I dla niej było to wstrząsające odkrycie. Poruszyła bezgłośnie wargami, ale nic nie powiedziała.

- Wicehrabiego Pulborough - podpowiedział po chwili, widząc, że zaniemówiła. - Drugiego męża mojej matki.

- My... My nigdy się nie spotkaliśmy. Popatrzył na nią z udawanym zdziwieniem.

Pod jego krytycznym, lustrującym spojrzeniem czuła się fatalnie. Wściekała się w duszy i myślała, że jeśli ktoś tu powinien czuć się źle, to chyba właśnie on. To przecież jego ojczym porzucił nastolatkę w ciąży.

- Poważnie? Widocznie coś źle zrozumiałem.

- Moja mama go znała. Wiele lat temu. Napisałam do wicehrabiego, żeby poinformować go o jej śmierci. - Odstawiła ostrożnie kieliszek i wzięła torebkę. - Nie odpisał.

Trzy tygodnie i nic, pomyślała. Nie spodziewała się, że ojciec przyjmie ją z otwartymi ramionami, ale żadnej reakcji? Nie mogła tego pojąć. Z każdym upływającym dniem czuła coraz większą niechęć do tego mężczyzny.

Nie mieściło się jej w głowie, że można być tak bezwzględny człowiekiem, by dać nowe życie i nigdy nie zainteresować się losami dziecka.

Gdy była już na tyle duża, by pytać o ojca, mama powtarzała tylko, że to dobry człowiek i choć chciał, nie mógł z nimi zostać. Kim jednak był, pozostawało tajemnicą. Tej myśli o dobrym człowieku uczepiła się kurczowo. Świącie wierzyła, że gdyby to tylko było możliwe, mieszkaliby razem, kochaliby się. Miałaby ojca.

Ot, takie dziecinne rozumowanie, skomentowała w myślach. Tymczasem jej ojciec okazał się zwykłym draniem, który dzielił ludzi na wartych i niewartych uwagi. Łajdakiem, który porzucił młodą dziewczyną, by samotnie radziła sobie z konsekwencjami ich przelotnego romansu. Wreszcie człowiekiem, który kompletnie wymazał z pamięci fakt, że spłodził dziecko.

Ją.

- Był chory.

- Chory? - Uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Ale pewnie już o tym wiesz. Jakiś czas spędził w szpitalu - kontynuował.

- Nie, nie. Nie wiedziałam.

Odniosła wrażenie, że Jem wini ją za ten stan rzeczy. Ale dlaczego? - zachodziła w głowę.

- Przeszedł operację serca.

Eloise nie wiedziała, co powiedzieć. Biorąc pod uwagę, że nie znała wicehrabiego, czuła się dziwnie, słuchając o jego problemach zdrowotnych.

- U ludzi w wieku siedemdziesięciu trzech lat operacje nie przebiegają już tak prosto i niosą ze sobą wiele zagrożeń.

Poczuła, jak ogarnia ją panika. Przecież nie mógł umrzeć, pomyślała przerażona. Nie teraz. Nie, zanim porozmawiają. Zanim dowie się, dlaczego je zostawił.

- Czy może umrzeć? - spytała.

- Z powodu jego wieku oraz przebytych chorób, operacja należała do tych z grupy podwyższonego ryzyka, ale ku radości wszystkich skończyło się jedynie na strachu.

- To dobrze. - Jej głos drżał.

- Tak, to dobrze. Cała rodzina zjechała się teraz, by go wspierać. Przede wszystkim musi unikać stresu. Próbujemy zapewnić mu maksymalny spokój.

Natychmiast pojęła, co chce jej przekazać.

- Rozumiem - wyszeptała trochę zażenowana.

Ale po chwili, nie bardzo panując nad sobą, dodała:

- Chronicie go także przede mną, prawda? Nie czytał mojego listu?

- Nie.

Nie, powtórzyła w myślach. Żadnego „przepraszam”, tylko suche „nie”? Czy ktokolwiek zdawał sobie sprawę, ile dni wyczekiwała z niepokojem na odpowiedź? Jak bardzo się bała? Jak bardzo czuła się odrzucona i niepotrzebna? Takie pytania rodziły się w jej głowie jedno po drugim.

A wicehrabia nawet nie wiedział o liście.

Poczuła wzbierającą złość i irytację, bo nagle uświadomiła sobie, że jednak ktoś z rodziny jej ojca musiał przeczytać list. Przeszedł ją lodowaty dreszcz.

Odetchnęła głęboko i popatrzyła na Jema.

- Czytałeś go? - spytała.

- Nie.

- A zatem kto to zrobił?

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Nikt nie miał prawa tego czytać. To prywatny list, traktujący o bardzo delikatnych i osobistych sprawach. Dotyczył tylko i wyłącznie... - zawahała się, nie wiedząc, jak określić adresata, „mojego ojca” za nic nie chciało przejść jej przez gardło. - Wicehrabiego i mnie. Nikogo więcej.

- Żony wicehrabiego również nie?

- Nie - odparła stanowczo. Spostrzegła, że twarz mu drgnęła

- Dlaczego teraz? - spytał, chyba trochę rozdrażniony.

- Słucham? - Nie zrozumiała, o co pyta. Jem nagle uśmiechnął się łagodnie.

- Jestem szczerze zaciekawiony, dlaczego dopiero teraz wysuwasz swoje roszczenia. Dlaczego nie zrobiłaś tego na przykład w zeszłym roku?

Zmieszała się. Nie całkiem rozumiała, skąd te pytania i do czego zmierzają. Wyczuwała naganę w jego głosie, ale nie знаła powodów takiego zaskakującego dla niej podejścia.

I nagle uderzyło to w nią niczym grom z jasnego nieba.

Jeremy jej nie wierzył. Doszukiwał się jakiegoś drugiego dna. Och nie...

Poczuła zawroty głowy. Podeszła do okna, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Nie wierzył, że była córką jego ojczyma. Wzburzona nie mogła się z tym pogodzić. Jak w ogóle śmiał... Nie potrafiła nawet tego nazwać. Kipiała gniewem. Jak on mógł... Czy sądził, że jej matka nie wiedziała, kto był ojcem dziecka?

Chce wiedzieć, dlaczego dopiero teraz napisałam do wicehrabiego? - powtarzała w myślach. Proszę bardzo, dowie się.

- Bo dopiero teraz dotarło do mnie, jakie to ważne - zaczęła. - Kiedy umarła moja mama, razem z testamentem zostawiła list.

Eloise z trudem dobierała słowa. Wypełniały ją jednocześnie gniew i smutek. Czowała napływające do oczu łzy. Zaczęły powracać wspomnienia tamtego dnia. Policjantka, która przyszła ją poinformować. Długa jazda powrotna do domu. Szok i

uczucie pustki. I niedowierzenie, gdy czytała list zza grobu, gdy poznała w końcu prawdę.

Na początku nie była w stanie myśleć racjonalnie. Głowę miała zaprzątniętą masą przyziemnych spraw, jak na przykład organizacja i opłacenie pogrzebu. Jej życie w jednej chwili uległo ogromnej zmianie.

Upłynęło wiele czasu, dokładnie sześć lat, nim dotarło do niej rzeczywiste znaczenie treści listu. Wpadła w gniew, kiedy uświadomiła sobie, że ojciec zostawił je same sobie.

Jedyne, co ją zastanowiło, to brak goryczy w słowach mamy. Najwyraźniej kochała go i ufała mu do samego końca.

I to chyba był główny powód, dla którego postanowiła wrócić do tych spraw.

Odpowiedź na pytanie Jema była więc banalnie prosta. Eloise powątpiewała jednak, czy Jeremy Norland jest w stanie zrozumieć choć drobną część z tego, co czuła.

Odetchnęła głęboko i spróbowała jeszcze raz:

- Moja mama miała wypadek. Czołowe zderzenie. - Jej głos drżał. - Zginęła na miejscu.

- Przykro mi - powiedział cicho Jeremy i podszedł bliżej. Eloise cofnęła się i złożyła ręce na piersi.

- To się stało dawno temu. Chciałeś wiedzieć, dlaczego tak długo czekałam, więc ci powiem. Mama nigdy nie powiedziała mi, kto jest moim ojcem. To była tajemnica, której nikomu nie zdradziła. Zostawiła jednak list...

- Nikomu?

- Myślę, że twój ojczym był bardzo zadowolony, że trafił na tak naiwną i zakochaną kobietę. Po prostu nagle wyparowała i nigdy o nic nie prosiła. Moja mama warta była stu takich facetów. To on na tym stracił.

ROZDZIAŁ DRUGI

Odwróciła się gwałtownie i ruszyła przez salę, torując sobie drogę między wyelegantowanymi kobietami. Wręcz kipiała ze złości.

A jednocześnie przytłaczał ją wielki smutek.

List nawet nie dotarł do rąk mężczyzny, którego kochała mama, pomyślała zawiedziona. Co gorsza, czytali go jacyś obcy ludzie. Tajemnica mamy wydała się, wbrew jej woli. A na domiar złego chęć znalezienia odpowiedzi na dręczące Eloise pytania została zrozumiana opacznie. Czuła się oszukana i skrzywdzona.

Z trudem powstrzymując łzy, odnalazła damską toaletę i weszła do środka. Odetchnęła z ulgą, gdy okazało się, że w środku nikogo nie ma. Opłukała twarz zimną wodą i spojrzała w lustro.

Jeremy jej nie wierzył. Prawdę mówiąc, zbytnio na to nie liczyła. Spędziła wiele godzin na rozmyślaniu nad odpowiedzią, jakiej mogła się spodziewać na list do wicehrabiego, ale nawet przez myśl jej nie przeszło, że może on nie dotrzeć do adresata, a ci, którzy go przeczytają, najzwyczajniej nie uwierzą w jego treść.

Odwróciła głowę na dźwięk otwieranych drzwi. Dwie kobiety w średnim wieku przerwały rozmowę na jej widok. Eloise wyprostowała się i zakręciła wodę. Nie miała ochoty na wyrazy współczucia czy jakiegokolwiek pytania. Kiedy kobiety przeszły dalej, Eloise ukryła twarz w dłoniach. Czuła się źle. Chciała uciec do domu, wypłakać się, wszystko przemyśleć. Cassie zapewne by to się nie spodobało, ale czuła, że nie wytrzyma kolejnej rozmowy z Norlandem. Dlaczego u licha, pytała się wściekła w myślach, nie wierzy mi i twierdzi, że mama skłamała? Otarła łzy.

- Wszystko w porządku? - spytała jedna z kobiet, niespodziewanie stając za Eloise.

- Tak, przepraszam - spieszyła się. - Wszystko w porządku, naprawdę - dodała pośpiesznie.

Poprawiła makijaż i fryzurę i wyszła z łazienki.

- Wyglądasz fatalnie - skomentowała Cassie, kiedy się spotkały.

Eloise nic nie odpowiedziała. Były zaprzyjaźnione, ale nie na tyle, by zwierzać się sobie ze swoich problemów.

Dopiero po śmierci mamy Eloise uświadomiła sobie, że tak naprawdę nie ma nikogo, komu mogłaby bezgranicznie zaufać, z kim mogłaby podzielić się swoimi smutkami.

- Muszę po prostu wreszcie porządnie się wypaść - powiedziała. - Pójdę już.

Cassie wykrzywiła usta w grymasie niezadowolenia. Sama żyła pracą dwadzieścia cztery godziny na dobę i tego samego wymagała od swoich pracowników.

- Teraz? - spytała poirytowana.

- Och, mam masę materiałów - uspokoiła ją Eloise. - Dużo więcej niż zostało zużyte na kreację Bernadette Ryland - zażartowała.

Na twarzy szefowej zagościł uśmiech. Odwróciła się dyskretnie, by rzucić okiem na skąpy strój aktorki.

Jeszcze przez chwilę próbowała nakłonić Eloise do zmiany decyzji, ale widząc szczyry ból w jej oczach, zgodziła się wreszcie, by wróciła do domu.

- Poproś w recepcji, żeby zamówili ci taksówkę - powiedziała. - Zrób to koniecznie - nalegała. - Pamiętaj, proszę, że dopiero co Naomi została napadnięta.

Eloise uśmiechnęła się na pożegnanie i ruszyła w stronę drzwi. Nigdy do tej pory nie zdarzyło się jej tak wcześnie wychodzić z podobnej imprezy. Ale też po raz pierwszy czuła się tak fatalnie. I tak bardzo potrzebowała spokoju i wyciszenia.

Nigdy wcześniej nie spotkała też Jeremy'ego Norlanda.

Chłodny powiew wieczornego wiatru podziałał na nią orzeźwiająco.

Pomyślała, że jeszcze kilka minut temu po raz pierwszy w życiu była bliska zemdenia. Z prawdziwą ulgą oddychała teraz świeżym powietrzem i cieszyła się ciszą. Zaczęła zbiegać schodami w stronę szatni, gdy nagle zatrzymał ją męski głos:

- Panno Lawton?

Nie musiała się odwracać, by rozpoznać Jeremy'ego. Zaciśnęła dłoń na pasku torebki.

- Odejdź, nie mam ochoty z tobą rozmawiać... - warknęła i ruszyła w dół schodów.

Przejście do szatni tarasowała spora grupa ludzi i Eloise, chcąc nie chcąc, musiała ustawić się w kolejce. Jeremy stanął tuż za nią.

- Przepraszam - powiedział cicho.

Odwróciła się gwałtownie.

- Za co?

- Zdenerwowałem cię.

Ku zdziwieniu Eloise, jego słowa zabrzmiały szczerze. Nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć.

- Jestem zła, nie wściekła, ale bardzo zła.

- Przepraszam - powtórzył.

Eloise poczuła napływające do oczu łzy.

- Idź sobie - powiedziała cichym, drżącym głosem. - Zostaw mnie samą, proszę...

Odebrała płaszcz i skierowała się w stronę wyjścia.

- Powinniśmy porozmawiać - nie dawał za wygraną.

- O czym? - Spojrzała na niego uważnie. - Nie mam ci nic do powiedzenia i nie interesuje mnie, co ty chcesz mi powiedzieć. Teraz wiem, że mama miała rację, kiedy postanowiła nie szukać kontaktu z moim ojcem.

Zadarła dumnie głowę i wyszła przed bramę.

Było ciemno i nieprzyjemnie. W jednej chwili cała jej pewność i duma gdzieś znikły. Powinna poczekać na taksówkę, ale inaczej nie uwolniłaby się od Normanda. Nie zmieniało to jednak faktu, że samotne wędrowanie przez Londyn o tej porze

trudno było zaliczyć do mądrych decyzji. Lecz wrócić już nie mogła. Rzuciła okiem na pustą ulicę i mimo narastającej paniki ruszyła przed siebie.

Co kilka kroków spoglądała przez ramię za siebie. Dokoła było pusto, ale wyobrażenia podpowiadała jej różne straszne scenariusze. Skarciła się w myślach. Każda kobieta mająca odrobinę oleju w głowie zamówiłaby taksówkę i spokojnie wróciła do domu. Kiedy weszła do parku, przyspieszyła kroku. W ciągu dnia to miejsce tętniło życiem, teraz jednak było puste, mroczne i nieprzyjemne.

Gdzieś w oddali zagrzmiało i spadły pierwsze krople deszczu. Świetnie, pomyślała rozzłoszczona. Tylko tego mi dziś brakowało. Otuliła się szczelniej płaszczem. Wiatr stawał się coraz mocniejszy i zrobiło się naprawdę zimno. Serce zabiło jej mocniej, gdy usłyszała za sobą kroki. Przerazona przyspieszyła tak, że niemal już biegła. Próbowwała się uspokoić i pocieszała się, że zostało zaledwie kilkadziesiąt metrów, by wyjść na ulicę pełną ludzi. Rzuciła ukradkowe spojrzenie przez ramię. Rzeczywiście ktoś za nią szedł. Próbowwała przypomnieć sobie, jak daleko jest do głównej ulicy. Czy jeśli zdejmę buty i rzucę się biegiem, zdążę? - zastanawiała się.

Oddychała głęboko. Była na siebie wściekła, ale wiedziała, że musi opanować nerwy, jeśli chce wyjść z tego cało.

Nagle zorientowała się, że kroki ucichły. Odetchnęła z ulgą i uśmiechnęła się w duchu. Niestety, chwilę później znowu je usłyszała. Co gorsza, człowiek, który ją gonił, najwyraźniej przyspieszył. Była tak przerażona, że nie mogła myśleć logicznie. Rozważała bieg z butami w rękę, walkę z napastnikiem i jeszcze kilka innych, równie szalonych wariantów. Wreszcie zobaczyła w oddali światła restauracji. Nadzieja wstąpiła w jej serce.

- Panno Lawton!

Pobladła z wściekłości. Z furią w oczach odwróciła się w stronę Jeremy'ego Norlanda.

- Niech cię cholera, Norland. Jak śmiesz robić mi coś takiego? - wydusiła ze ściśniętego złością gardła. - Co ci przyszło do głowy, żeby skradać się po nocy za samotną kobietą? Czy ty w ogóle... - Głos jej się załamał, ale oczy nadal ciskały błyskawice.

- Nie miałem zamiaru cię przestraszyć - powiedział przeproszająco. - Byłem pewien, że mnie zauważyłaś.

- Dlaczego nie możesz mnie po prostu zostawić w spokoju? - powiedziała z trudem.

Nadmiar emocji spowodował, że straciła oddech. Zachwiała się i gwałtownie próbowała złapać trochę powietrza. Jem ujął jej twarz w dłonie.

- Oddychaj głęboko - polecił zdecydowanym głosem. - Wdech, wydech. Dasz radę. Zaraz wszystko będzie dobrze - uspokajał ją łagodnie.

Nie wierzyła mu, ale wpatrywała się jak zahipnotyzowana w błękitne oczy. Jego ciepłe, miękkie dłonie spowodowały, że poczuła się znacznie lepiej. Nadal z trudem oddychała, ale serce było spokojniej.

- Przepraszam, ja...

- Nie przepaszaj i nic nie mów - przerwał jej szorstko.

- Jesteś w szoku i trzeba cię z tego wyciągnąć. Oddychaj spokojnie. Gdybyś miała papierową torebkę, poprosiłbym, żebyś ją nadmuchała, ale pewnie nie masz. - Rozejrzał się wkoło, jakby w nadziei, że znajdzie coś na ulicy.

Eloise się roześmiała.

- Co cię śmieszy? Przestraszyłem cię i czuję się winny. Powinienem wcześniej zawołać, upewnić się, że wiesz, kto za tobą idzie. Nie pomyślałem o tym.

Po kilku minutach Eloise zaczęła oddychać swobodnie i Jeremy odsunął się od niej. Przez chwilę stali w milczeniu, patrząc na siebie. Kiedy jednak zadygotała z zimna, zdjął pospiesznie marynarkę i zarzucił jej na ramiona.

- Nie, nie mogę... - zaczęła, ale powstrzymał ją.

- Jest zimno, a zaraz będzie lało.

Oparł dłoń na jej ramieniu i delikatnie popchnął w stronę głównej ulicy. Po kilku krokach zatrzymała się i spojrzała na niego.

- Co ty robisz? Czego chcesz?

- Porozmawiać z tobą - wyjaśnił łagodnie. - Powinniśmy spokojnie porozmawiać.

Pokręciła głową.

- Dlaczego? Po co? Przecież mi nie wierzysz. Wsadził rękę w kieszenie.

- Ale ty wierzysz w to, co mówisz.

Odwróciła się i zaczęła iść wolnym krokiem. Próbowwała poukładać myśli. Jeremy nie powiedział, że jej wierzy, ale chciał porozmawiać. Nadal nie potrafiła tego zrozumieć, lecz w tej chwili było jej wszystko jedno. Najważniejsze, że nie była już sama na ciemnej, ponurej ulicy. Nikt jej nie napadł i była bezpieczna.

Wspomnienia sprzed ośmiu lat wciąż były żywe. Miała wtedy wiele szczęścia, że nic się jej nie stało, ale ślad w psychice pozostał. Do dziś bała się samotnie chodzić po nocy.

Z nieba zaczęły spadać coraz większe krople. Eloise spojrzała na Jema.

- Przemokniesz.

- Poradzę sobie - uśmiechnął się do niej przyjaźnie.

Ten uśmiech, ku jej zaskoczeniu, sprawił jej przyjemność. Nic jednak nie powiedziała.

- Dokąd idziemy? - spytał.

- Do głównej ulicy. Tam złapiemy taksówkę.

- Mogłaś przecież zamówić taksówkę z recepcji - zdziwił się, ale po chwili dodał: - No tak, ja tam byłem, prawda? To o to chodzi?

- Coś w tym stylu - odparła wymijająco.

Zerknęła na niego ukradkiem. Deszcz rozpadał się na dobre i jego biała koszula kompletnie przemokła. Mokra tkanina przyklejała się do ciała, sprawiając, że wyglądał jak półnagi.

Bardzo atrakcyjne, dobrze umięśnione ciało, zauważyła. Przypomniała sobie, że Cassie również to spostrzegła. I że określiła Jema jako seksownego faceta. Eloise nie mogła się z tym nie zgodzić. Był bardzo atrakcyjnym mężczyzną.

- Tu już sobie poradzę - odezwała się, gdy wreszcie dotarli do ruchliwej ulicy.

- Poszukam taksówki - oświadczył tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Na oświetlonej ulicy kręciło się sporo osób, a mimo to Eloise była mu wdzięczna. Nie miała ochoty zostawać sama.

- Dziękuję.

- Po tym, co ci zrobiłem, cieszę się, że przynajmniej na to mogę się przydać.

Jego błękitne oczy błyszczały intensywnie w świetle lamp. Pomyślała, że ma naprawdę piękne oczy. Ale są to oczy wroga, przypomniała sobie. Człowieka, który jej nie wierzył i oskarżał o kłamstwo.

- Dlaczego mi nie wierzysz? - spytała niespodziewanie. Jeremy odetchnął głęboko i powiedział powoli:

- Laurence to bardzo religijny człowiek. Od lat jest żonaty. Małżeństwo to dla niego największa świętość.

- Więc twierdzisz, że moja mama skłamała?

- Nazwisko Laurence'a nawet nie figuruje w twoim akcie urodzenia...

- A niby jak miałyby się tam znaleźć? Mój ojciec nie doczekał nawet moich narodzin.

Jeremy spojrział na nią. Oczy miał smutne i pełne współczucia. Nie chciał jej ranić, ale nie miał podstaw, by dać wiarę jej słowom.

- Laurence nie jest takim człowiekiem. Nigdy by tego nie zrobił.

- Pytałeś go kiedyś o to? Pytałeś? Pokaż mu mój list!

- Nie. Jeszcze nie. Zatrzymali się przed kawiarnią.

- Chcesz kawy?

- Chcę wrócić do domu. Już sobie poradzę, A ty wracaj na przyjęcie.

- Ani mi się śni. Jestem przemarznięty, przemoknięty i zamierzam odwiedzić cię pod dom.

- A co z Sophią Westbrooke? Nie będzie cię szukać?

- Poradzi sobie. Wróci do domu z Andrew. Oboje zresztą wiedzą, że nie cierpię takich imprez. Nie cierpię Londynu. Za głośno tu i za dużo ludzi.

Stanęli na rogu i rozglądali się za taksówką.

- Czytałam o tym. Zerknął na nią.

- O czym jeszcze czytałaś?

- Wiem, że jesteś synem Ruperta Norlanda, który zginął w wypadku łodzi motorowej, kiedy miałeś czternaście lat. Osiemnaście miesięcy później twoja matka wyszła za wicehrabiego Pulborough. Wyrzucono cię ze szkoły. Jesteś kawalerem i projektujesz meble.

- To wszystko?

Spojrzała na niego uważnie. Wprawdzie ręce trzymał nonszalancko w kieszeniach, ale twarz wyrażała szczere zainteresowanie.

- Masz przyrodniego brata, Alexandra, który pewnego dnia odziedziczy Coldwaltham. Plotki mówią, że byłeś zaręczony z Brigitte Coulthard, spadkobierczynią imperium Coulthardów. Chcesz więcej? Jestem niezła w wyszukiwaniu informacji.

- Właśnie słyszę - odparł z wyraźnym sarkazmem.

Zapadła niezręczna cisza. Na szczęście Eloise zauważyła taksówkę, zamachała ręką i po chwili siedzieli w środku. Eloise nie miała nawet siły zaprotestować, kiedy zobaczyła, że Jem sadowi się koło niej. Poddała się. Beznamiętnym wzrokiem patrzyła na mijane budynki.

A co, jeśli Jem ma rację? - pytała się w myślach. Co, jeśli wicehrabia rzeczywiście nie jest moim ojcem? Zakradająca się niepewność sprawiała, że czuła się tak, jakby zdradzała matkę. Nie mogła zrozumieć pewności Norlanda, a równocześnie nie dopuszczała myśli, że mama skłamała. Po co miałyby to robić?

Kiedy podjechali pod dom, odwróciła się do Jema.

- Masz, przyda ci się - powiedziała, oddając mu marynarkę. - Dziękuję.

Wziął marynarkę i nic nie mówiąc, wysiadł, żeby pomóc Eloise wydostać się ze środka.

Stała na chodniku i bezmyślnie przyglądała się, jak płacił kierowcy.

- Za nic nie złapiesz tu innej - odezwała się, kiedy taksówkarz zniknął za rogiem.

- Najwyżej się przejdę. - Wzruszył ramionami.

- To głupie.

- Być może. Chcę jednak mieć pewność, że jesteś bezpieczna.

- Wejdiesz na kawę? - spytała, nim zdążyła pomyśleć, co tak naprawdę proponuje. - Będziesz mógł zadzwonić i zamówić taksówkę.

- Kawa to świetny pomysł.

Kiedy wchodzili na górę, Eloise pomyślała, że po samotnej wędrówce przez nocny Londyn, właśnie popełnia kolejne wielkie wykroczenie, przed jakim ostrzegają przewodniki po mieście. Która samotna kobieta zaprasza do swojego mieszkania mężczyznę poznanego kilka godzin wcześniej? Chwilę później zreflektowała się. Chociaż nie znosiła Jeremiego Norlanda, to wcale się go nie bała.

Nie miała nawet pewności, czy nadal go nie cierpi.

- Długo tu mieszkasz? - spytał, gdy weszli do środka.

- Od pół roku. Miałam sporo szczęścia, że udało mi się to kupić.

Wskazała mu drogę do salonu, a sama poszła się przebrać. Weszła do sypialni, zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Odetchnęła głęboko kilka razy i bezskutecznie próbowała odpowiedzieć sobie na pytanie, co takiego wyprawia. Nie było najmniejszego powodu, żeby zapraszać Jeremy'ego Norlanda na kawę.

Z drugiej strony, on też nie miał powodu, żeby zaproszenie przyjąć. Ani powodu, żeby tak dbać o jej bezpieczny powrót do domu. A skoro był tak głęboko

przekonany, że jej matka kłamała, to nie powinien również mieć żadnego interesu w rozmowie z Eloise.

Zrzuciła z siebie mokre rzeczy, szybko wskoczyła w dżinsy i różowy sweterek. Przez chwilę kusiło ją ciepłe łóżko.

Niestety, pomyślała, przez swoje irracjonalne zachowanie mam gościa w salonie.

Nie chciała rozmawiać o mamie. A już na pewno nie wtedy, jeśli Jem planował kwestionować jej uczciwość.

Przez chwilę pomyślała, że być może najlepszym rozwiązaniem byłoby schowanie listu i wymazanie wszystkiego z pamięci. Jednak przecież zawsze bezgranicznie ufała mamie, nie może więc pozwolić, żeby ktokolwiek próbował to zniszczyć. Była pewna, że musiał być jakiś niezmiernie ważny powód, dla którego mama nie szukała kontaktu z jej ojcem.

A może szukała? Może latami próbowała się z nim porozumieć, ale Laurence skutecznie jej unikał?

Zdenerwowana tymi myślami, wróciła do salonu.

- Przepraszam, że tak długo mnie nie było. Na pewno jesteś przemarznięty i przemoczony.

Jem stał tyłem do niej i wyglądał przez okno.

- Bardzo tu cicho - zauważył i odwrócił się.

- Tak - przytaknęła niepewnie. - Dlatego kupiłam to mieszkanie. No, może również dlatego, że było mnie na nie stać. I do metra jest niedaleko.

Z przerażeniem spostrzegła, że plecie trzy po trzy. Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Nie mogła pozbierać myśli.

Jem się uśmiechnął. Miał osobliwą umiejętność sprawiania, że czuła się wyjątkowo w jego obecności. Na moment prawie zapomniała, kto przed nią stoi.

- Proszę, przyniosłam ci ręcznik - powiedziała i wyciągnęła rękę.

- Dziękuję. Jeśli mogę usiąść na chwilę, to położę go na kanapie, żeby nie przemoczyć materiału.

- Nic się nie stanie. To znaczy tak. Usiądź, proszę - dodała po chwili, speszona swoim zachowaniem. - Może przyniosę ci drugi ręcznik?

- Nie trzeba, dziękuję.

- To zrobię ci obiecaną kawę, dobrze?

- Wspaniale - ucieszył się.

Przyłapała się na tym, że zamiast iść do kuchni, przygląda mu się z zaciekawieniem. Sprawiał, że wszystko przy nim wydawało się maleńkie - ona, jej mieszkanie. Potrząsnęła głową i zmusiła się do ruchu. Zaniepokoiło ją, że ciągle zapomina, po której stronie barykady stoi Jeremy Norland.

Kiedy nalewała kawę, przyszło jej jeszcze do głowy, że wicehrabia Pulborough jest szczęściarzem, mając takiego człowieka u swego boku. Ona nie miała nikogo tak oddanego. Była silna, jakoś sobie radziła, ale czasem... Potrzebowała oparcia, spokoju i poczucia bezpieczeństwa.

Potrzebowała kogoś, kto ją pocieszy, zapewni, że wszystko się ułoży. Dopóki żyła mama, doskonale się uzupełniały. Ale teraz? Teraz była sama. Od sześciu długich lat całkowicie sama.

ROZDZIAŁ TRZECI

Eloise wstawiła wodę i rozejrzała się w poszukiwaniu torebki z kawą. Znalazła ją w głębi szafki, za dwiema dużymi miskami.

Poczuła przyjemny zapach, wydobywający się z otwartego opakowania. Miała nadzieję, że kawa nadal jest świeża i aromatyczna. Choć z drugiej strony, czy to ma teraz jakieś znaczenie?

I nic, co powie jej Jem Normand, nie mogło zmienić faktów. Matka nie kłamała. Wicehrabia Pulborough jest jej ojcem. Czy tego chciała, czy nie. Rozejrzała się w poszukiwaniu tacy. Zauważyła ją na najwyższej półce. Sięgnęła po nią tak niefortunnie, że wszystko się posypało. Odruchowo zamknęła oczy, a kiedy rumor ustał, otworzyła je ostrożnie.

- Co się tu...? - zapytał Jem, wchodząc do kuchni. - To chyba nie jest twój najlepszy dzień? - zauważył, zbierając z podłogi porzrzucone przedmioty.

- Szukałam tacy.

- No to ją znalazłaś - odparł. - Gdzie mam postawić resztę?

Ręce nadal jej dygotały. Zamknęła oczy i oddychała głęboko. Jem patrzył na nią z niepokojem.

- Wszystko w porządku?

- Bywało lepiej. - Wyjęła dwie filiżanki. - Napijesz się? Uśmiechnął się uspokajająco. Zmarszczki w kącikach jego oczu zadrgały.

- Umieram z pragnienia.

- Słodzisz?

- Nie, dziękuję. Za mleko też. - Oparł się o framugę i patrzył na nią.

Wylała resztę mleka do dzbanuszka i postawiła wszystko na tacy.

- Chyba lepiej będzie, jeśli ja to zaniosę - zaproponował, podchodząc i biorąc tacę.

Nie oponowała, choć było to do niej zupełnie niepodobne.

Jem ponownie jej się przyjrzał.

A jeśli ona rzeczywiście mówi prawdę? - zastanawiał się. Może naprawdę jest córką Laurence'a. To by oznaczało, że nie jest on człowiekiem o nieskazitelnych zasadach, za jakiego się uważał. Spadłby z piedestału, choć tak bardzo zabiegał, żeby się na nim znaleźć.

Jem poszedł za Eloise w stronę małego salonu. Dziewczyna włączyła gazowy kominek, a płomienie natychmiast strzeliły w górę. Przyglądała im się przez chwilę, po czym usiadła w fotelu z poduszką na kolanach.

Jem ostrożnie postawił tacę na pieńku służącym za stół. Miał już na końcu języka pytanie o matkę, ale przypomniał sobie, że przecież matka Eloise nie żyje.

Już nie kwestionował faktu, że jej matka zostawiła list, w którym twierdziła, że wicehrabia Pulborough jest ojcem Eloise, teraz musiał rozstrzygnąć, czy to prawda.

A jeśli tak właśnie było, nadal otwarte pozostawało pytanie: Dlaczego dopiero teraz? Kwestie finansowe wydawały się tu odpowiedzią oczywistą. Może w ten właśnie sposób ta kobieta próbowała zapewnić dostatnie życie swojej córce.

Może nawet i miała romans z wicehrabią. Jeszcze dwa tygodnie temu Jem przysięgłby, że to podłe kłamstwo, ale teraz...

Wszystko było możliwe. I może stąd właśnie zrodziła się ta historia...

Ale pomyśl, że wicehrabia odwrócił się od swojego dziecka, wydawał się nedorzeczny. Nikt, kto znał go choć odrobinę, nie uwierzyłby w to.

Wicehrabia był mężczyzną przykładającym ogromną wagę do roli rodziny. Zawsze też dbał o innych. To właśnie przekonało matkę Jema do ponownego małżeństwa.

I był to wspaniały związek. Matka czuła się bezpieczna i szczęśliwa, w przeciwieństwie do czasów wczesnego dzieciństwa Jema.

Dłonie Eloise nerwowo drgały na poduszce.

- Może napijesz się kawy? - zapytał. Ocknęła się przestraszona.

- Za chwilę. Przepraszam. Zamyśliłam się.

Odrzuciła poduszkę, podniosła się i naląła kawę do jego filiżanki.

Przezcesał włosy palcami. To czyste szaleństwo. Nie powinno go tu być. W każdym razie nie takie miał intencje. To miało być ostrzeżenie. Chciał jej uświadomić, że Laurence nie był i nie jest sam.

Eloise naląła mleka do swojej filiżanki i gestem zaprosiła Jema, żeby się częstował.

- Dziękuję. - Usiadł wygodnie na sofie i patrzył, jak próbowała utrzymać filiżankę w drżących dłoniach.

Wyglądała na bardzo zmęczoną i smutną. Trudno było się dziwić. Życie dotkliwie ją doświadczyło.

- Doskonała kawa - pochwalił, chcąc przerwać kłopotliwą ciszę.

Nie podjęła rozmowy. Niezręczna cisza trwała nadal. Jem już dawno nie czuł się tak skrepowany. Nalegał na to spotkanie, śledził ją i przestraszył, bo zdecydował, że należy wyjaśnić sprawę tak szybko, jak tylko to możliwe. Ale teraz, kiedy siedział tuż obok niej, nie mógł zebrać się na odwagę.

Była taka krucha. Zupełnie inna, niż to sobie wyobrażał. Zmyliły go jej teksty na łamach „Image”. Spodziewał się spotkać kogoś twardego, ba, nawet cynicznego, a tymczasem ujrzał motyla ze złamanym skrzydłem.

Uśmiechnął się do siebie i pociągnął kolejny łyk kawy. Określenie „motyl” pasowało do niej. Była niezwykle piękna i delikatna.

W końcu wziął się w garść. Wiedział, że prędzej czy później będzie musiał zadać te pytania.

- Kiedy zmarła twoja matka?

- Sześć lat temu - odparła Eloise, zaciskając palce na filiżance. Jej głos był tak cichy, że Jem ledwo ją słyszał. - Dwudziestego ósmego listopada. To stało się na końcu świata. Oni zadzwonili do mnie.

Nie zapytał „jacy oni”, tylko przyglądał się jej nagle posmutniałej twarzy. Zegar tykał równomiernie, podkreślając upływający czas i przenikliwą ciszę. Jem postawił delikatnie filiżankę na stoliku, nie chcąc burzyć panującej atmosfery. Na twarzy Eloise widział zmieniające się emocje wywołane, jak się domyślał, wspomnieniami.

Kiedyś dla tak pięknych kobiet mężczyźni z radością ginęli. Czy jej matka też była tak piękna? I czyżby Laurence zakochał się w niej bez pamięci?

- Jak miała na imię? Twoja matka - dodał. Znał odpowiedź, ale chciał, żeby Eloise zaczęła do niego mówić. Chciał zrozumieć, co się wydarzyło.

- Vanessa. Vanessa Lawton - wyszeptała przez łyżę.

Jem poczuł wielką chęć, żeby ją przytulić. Pragnął ją chronić i opiekować się nią.

Oczywiście, z jej strony to może być tylko gra, rozważał w myślach. Jednakże sam nie potrafił w to uwierzyć. Widać było, że dziewczyna nie ma żadnych wątpliwości, że wicehrabia jest jej ojcem. Co więcej, musiała być święcie przekonana, że ojciec wyrzekł się ich obu, jej i matki.

Jem poruszył się niepewnie na krześle.

- Ile miała lat?

- Czterdzieści.

Czterdzieści lat. Umarła bardzo młodo. Naraz przyszła mu do głowy nowa myśl. Laurence miał siedemdziesiąt trzy lata. Różnica wieku między nimi była... Próbował szybko policzyć. Dwadzieścia siedem lat.

Do diabła.

- Czy masz ten list? - zapytał.

- Oczywiście - odpowiedziała zaskoczona.

Wstała i postawiła filiżankę na tacy.

Patrzył za nią, kiedy szła w stronę biblioteczki. Zdjęła z półki segregator, otworzyła go i bez słowa wręczyła Jemowi kartkę papieru.

- Oto, co napisała.

Jem nie miał wątpliwości, że to autentyczny list jej matki. Eloise niczego przed nim nie odgrywała. Literki były drobne i równe.

- Czy mogę przeczytać? - zapytał, choć nagle odeszła go ochota, by poznać treść listu.

Eloise skinęła tylko głową. Rozłożył więc kartkę i pogrążył się w lekturze. Każde zdanie zadawało mu coraz większy ból. Spojrzał na Eloise. Siedziała w fotelu, popijając kawę.

- Wynikałoby z tego, że masz dwadzieścia osiem lat. Zgadza się?

- Dwadzieścia siedem - sprostowała.

Kontynuował czytanie. Matka Eloise opisywała lato, które spędziła w Coldwaltham Abbey. Jeszcze raz przeleciał w myślach wszystko, czego dotychczas dowiedział się o historii posiadłości. Nie było tam żadnej wzmianki o zatrudnieniu jakiejś Vanessy Lawton.

Już chciał o tym wspomnieć, ale jedno spojrzenie na twarz Eloise powstrzymało go. Ona już i tak wiele wycierpiała. Delikatnie złożył list.

- Jak sądzisz, dlaczego matka nie powiedziała ci o tym wcześniej?

- Ponieważ on był żonaty. Być może także dlatego, że mówienie o tym było dla niej zbyt bolesne.

- A po śmierci jego żony?

- Nie wiem. - Eloise poruszyła się nerwowo na krześle i splótła palce. Potem podniosła wzrok. - Jaki on jest? - zapytała.

Laurence? Jaki jest? Jeszcze godzinę temu Jem nie miałby problemu z odpowiedzią na to pytanie. Laurence był mężczyzną bardzo inteligentnym, błyskotliwym, doskonałym mężem i ojcem, a także ojczymem...

Zawahał się na moment. Analizował gorączkowo, jak dobrze zna swojego ojczyma. I czy w ogóle można dobrze poznać drugiego człowieka?

Położył list na stoliku obok tacy.

- Jestem pewien, że jest taki, jak go sobie wyobrażasz.

Odpowiedź zabrzmiała dość sztucznie. Eloise poruszyła się w fotelu.

- Eloise... - po raz pierwszy wypowiedział jej imię. - On jest dobrym człowiekiem.

W jej oczach pojawił się dziwny blask, którego nie mógł do końca zrozumieć. Wydawała się ukojona jego słowami.

- Czy mogę zachować ten list?

- Nie - odparła zdecydowanie. Czego on się spodziewał? List mógł dopomóc, ale... Jem nie powinien jej winić. - Po prostu nie - dodała.

- Nie szkodzi. Porozmawiam z nim i bez tego. Oddał jej list.

- Nie ma tu ani słowa o tym, dlaczego twoja matka tak nagle odeszła.

Eloise ostrożnie włożyła kartkę z powrotem do segregatora.

- Nie ma - przyznała.

- A powiedziała chociaż, czy Laurence wiedział, że spodziewała się dziecka?

- W ogóle nigdy nic nie powiedziała. Wszystko, co wiem, przeczytałam w liście.

- I nic więcej?

Pokręciła głową.

- A czy kiedykolwiek wcześniej twoja matka wspominała o Coldwaltham Abbey lub o Laurensie?

Eloise znów pokręciła głową.

- Dziwne.

- Dlaczego? - Spojrzała na niego zdecydowanym, twardym wzrokiem.

- Dziwne, że nigdy nie wspomniała o miejscu, które miało dla niej tak wielkie znaczenie.

- Wicehrabia Pulborough wiele dla niej znaczył, urodziła przecież jego dziecko, a o nim też nie wspominała - zauważyła Eloise. - Niektóre sprawy są zbyt bolesne, by o nich mówić.

Wstała gwałtownie i odłożyła segregator na miejsce.

Jem starał się przypomnieć sobie wszystko, co wiedział o Laurensie i skonfrontować z tym, w co Eloise najwyraźniej tak głęboko wierzyła.

Nic tu jednak nie pasowało do siebie. Mężczyzna, którego znał, nigdy nie porzuciłby własnego dziecka. Zakładając, że Vanessa Lawton i Laurence byli kochankami...

- Czy możliwe jest, że twoja matka opuściła Coldwaltham, nie informując Laurence'a, że nosi jego dziecko?

- Nie.

- Skąd ta pewność?

- Nie zrobiłaby tego. Nikt by nie postąpił w ten sposób. Każdy mężczyzna ma prawo wiedzieć, że będzie miał dziecko. Mama nie zrobiłaby... Wiem na pewno, że nie zrobiłaby czegoś takiego.

Łzy popłynęły jej po policzkach. Wyglądała jak sponiewierany psiak. Pełna bólu i samotności. Jem czuł się tak, jakby go ktoś spoliczkował.

I raptem zapragnął ją pocałować. Była tak niesamowicie piękna i kobieca.

- Czy masz gdzieś zdjęcie swojej matki? - zapytał nieoczekiwanie.

Spojrzała na niego ponownie brązowymi oczami i skinęła głową.

- Chodzi ci o zdjęcie mojej matki, kiedy była młoda?

- Tak.

- Myślę, że mam.

- Czy mógłbym je zobaczyć? Eloise wstała i podeszła do kominka.

- Parę tygodni temu wygrzebałam z garażu kilka pudeł. Jestem pewna, że w jednym z nich muszą być też zdjęcia mamy. Nie przeglądałam ich jeszcze. Nie miałam siły... Nadal mam masę papierów do uporządkowania. Mama zbierała wszystkie kartki świąteczne, wszystkie listy... - Wyciągnęła z szafy duże pudło. - Myślę, że są tu również jakieś zdjęcia.

Jem otworzył pierwszy album. Na samym początku było zdjęcie małej Eloise. Miała może pięć lat i szczerbę po mlecznym zębie. Szybko zamknął okładki.

- Czy masz jakiś wcześniejszy? Eloise otworzyła kolejny album.

- Obawiam się, że niczego w nich nie znajdziemy. Na dnie są jakieś fotografie wrzucone luzem. Może tam coś będzie?

Jem przeglądał kolejne albumy, ale w żadnym nie znalazł odpowiedzi na swoje pytania. W końcu sięgnął po zdjęcia leżące na samym dnie pudła. Jedno z nich przedstawiało młodą dziewczynę. Zupełnie niepodobną do Eloise. Włosy miała rozpuszczone i lekko rozwiane przez wiatr. Uwagę Jema przykuł widniejący na zdjęciu dąb. Znał to drzewo bardzo dobrze. Wspinał się na nie tysiące razy. Ten dąb rósł w South Lawn, obecnie otwartym dla gości, ale kiedyś będącym prywatną posiadłością. Co oznaczało... że Eloise mówiła prawdę. I że historia opisana w liście jej matki też była prawdziwa. A zatem Laurence jest... ojcem Eloise. Jem wodził palcami po zdjęciu.

- Czy to twoja matka? - Co za głupie pytanie, ale musiał mieć pewność.

- Nie wiem, gdzie zostało zrobione to zdjęcie - odparła Eloise, patrząc na Jema. - To musiało być jeszcze przed moim urodzeniem. Później mama już nigdy nie była taka szczupła.

- To zdjęcie zrobiono w Abbey.

- Naprawdę?

Jem skinął głową, niechętnie obserwując iskierki zapalające się w jej oczach. A więc jednak trzymał w ręku dowód na to, że Vanessa Lawton odwiedziła Coldwaltham. Wprawdzie to ciągle jeszcze zbyt mało, by uznać ojcostwo Laurence'a, jednak Jem nie miał już wątpliwości, że rozmowa z ojczymem będzie absolutnie konieczna.

- Czy mogę pożyczyć to zdjęcie? Jutro wracam do Sussex i chcę je pokazać wicehrabiemu. A także twój list.

- Tak. Dziękuję - odparła Eloise, odkładając albumy do pudła. - Wierzysz mi?

Jem pragnął odpowiedzieć twierdząco, ale to by oznaczało, że jego ojczym minął się z prawdą. A przecież Laurence nigdy nie kłamał. Uznawał prawdę za wartość nadrzędną.

- Prawdę mówiąc, sam nie wiem. - Wyczuwał jej zdenerwowanie. - Pokażę mu twój list - powtórzył.

Eloise skinęła tylko głową. Emocje nie pozwalały jej na wykrztuszenie choćby jednego sensownego słowa.

Jem przyglądał się jej z uwagą. Tak bardzo pragnął ująć jej twarz w dłonie i pocałunkami ukoić ból. Zamiast tego uśmiechnął się i wstał, trzymając w ręku zdjęcie.

- Odezwę się, kiedy już z nim porozmawiam - obiecał. Pokiwała głową.

I porozmawiam z matką, pomyślał jeszcze. I z przyrodnią siostrą. Bo jeśli Laurence jest rzeczywiście ojcem Eloise, to mogło się to stać tylko wtedy, kiedy matka Belindy była jego żoną.

Włożył marynarkę i zbierał się do wyjścia.

- Dziękuję - powiedziała cicho Eloise. Spojrzał na nią czule.

- Kładź się. Jesteś wykończona.

Czuł nieodpartą chęć przyciągnięcia jej do siebie. Nie panował nad tym. Pragnął poczuć zapach jej skóry, trzymać ją mocno w ramionach.

Przeszedł go dreszcz, gdy uświadomił sobie, że tak naprawdę pragnie więcej.

Oprzytomniał, kiedy powtórnie dotarło do niego, że Eloise zagraża szczęściu jego matki. I całej rodziny.

Podeszli razem do drzwi.

- Dziękuję za kawę.

- A ja za taksówkę. - Eloise się uśmiechnęła.

Jeśli Vanessa miała podobny uśmiech, to wiele wyjaśnia, pomyślał Jem. Poprawił marynarkę i wyszedł na zewnątrz. Przenikliwy, zimny wiatr przypominał

mu, że miał wezwać taksówkę. Postanowił jednak nie wracać na górę, licząc, że złapie coś po drodze.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Jem wszedł ostro w zakręt i jeszcze przez dłuższą chwilę bez opamiętania naciskał pedał gazu. Przejechał dobre kilkaset metrów, nim się zorientował, co wyprawia.

Pomyślał, że zmęczona twarz Laurence'a już zawsze będzie go prześladować. Tak jak potworne wyrzuty sumienia. Nigdy nie wymaże z pamięci obrazu trzęsącej się dłoni ojczyma, trzymającej zdjęcie.

Nie było mowy o nieporozumieniu. Eloise Lawton rzeczywiście okazała się córką wicehrabiego Pulborough. Jedno spojrzenie na jego twarz potwierdziło wszystkie przypuszczenia. Gdyby zaprzeczył, Jem i tak by nie uwierzył.

Poczuł, jak coś się w nim kruszy i rozpada. Tak bardzo pragnął wierzyć w niewinność Laurence'a. Odkąd skończył piętnaście lat, uważał go za człowieka stojącego ponad wszystkimi śmiertelnikami, wolnego od wszelkich ludzkich słabości.

Laurence zawsze był mężczyzną, którego darzyło się zaufaniem. Mężczyzną, na którego patrzyło się z podziwem. Był zupełnym przeciwieństwem jego biologicznego ojca. A Jem bardzo potrzebował takiego autorytetu.

Zatrzymał samochód. Niebo przybrało barwę głębokiej czerwieni. Wokół panowała przytłaczająca cisza.

Wiedział, że zaraz będzie musiał zadzwonić do Eloise. Tylko co ma jej powiedzieć? Że ojciec przeczytał list i byłby zaszczycony, mogąc zaprosić ją do siebie, chociaż dotąd nikomu nie zdradził jej istnienia? A może że matka Jema

rozplakała się, poznawszy całą historię, a Belinda, przyrodnia siostra Eloise, wyszła z domu bez słowa? Jego najbliżsi cierpieli...

To wszystko zaczynało go przerastać. Sekrety i kłamstwa. Zawsze się nimi brzydził.

Zerknął na zegarek i wysiadł z land rovera. W oddali widział stary, dostojny dąb. Jego gałęzie rozpościerały się majestatycznie na tle wieczornego nieba. Nie mógł przestać myśleć o Vanessie Lawton siedzącej pod tym dębem, uwiecznionej tak wyraźnie na zdjęciu.

Laurence był wstrętnym kłamcą. Czy matka Belindy wiedziała o wszystkim? Czy patrzyła spokojnie z okien swojej sypialni na męża i Vanessę Lawton? I czy Belinda wiedziała? Jem zaczął porządkować w głowie daty i z furią uderzył pięścią w pień drzewa. Belinda musiała mieć wtedy około trzynastu lat. Była wystarczająco duża, żeby wyczuwać i rozumieć, co się dzieje. To by nawet tłumaczyło jej trudne relacje z ojcem.

Wrócił do samochodu, wiedząc, że nie uniknie rozmowy z Eloise. Skoro obiecał, dotrzyma słowa. Ktoś musi jej powiedzieć, że jej przypuszczenia były prawdziwe. A poza tym chciał, żeby usłyszała to właśnie od niego. I pragnął usłyszeć jej głos. To jeszcze bardziej go wystraszyło. Przecież Eloise była w stanie rozbić jego rodzinę, a także zniszczyć z takim trudem zbudowany spokój jego matki.

Przyjazd Eloise do Coldwaltham Abbey mógł spowodować jedynie cierpienie ludzi, których kochał. A co by to oznaczało dla niej? Zapewne obliczanie przyszłego spadku... Uruchomił silnik i ruszył wolno w stronę domu.

Eloise czuła się bardzo źle. Było to uczucie podobne do tego, jakie towarzyszyło jej podczas egzaminów. Zawsze osiągała doskonałe wyniki, ale też zawsze towarzyszył temu ogromny stres. Tamtego dnia miała szczególne powody do radości. Dostała się na Uniwersytet Cambridge. Obawiała się jednak, że dzisiejsze napięcie nie jest zwiastunem równie radosnych wydarzeń.

Poza tym było już za późno. Dwadzieścia siedem lat za późno. Goniłwa myśli sprowadzała się właściwie do jednego, generalnego pytania: dlaczego?

Dzisiaj miała otrzymać odpowiedź. Wkrótce pozna mężczyznę, który porzucił ją i jej matkę. Co będzie czuła, kiedy wreszcie go zobaczy? Złość? Ból? Żal?

A może miłość?

Nie miała pojęcia, jakich uczuć się spodziewać. Nic, co dotąd przeżyła, nie przygotowało jej na takie doświadczenie, jednak za nic nie umiała zrezygnować z możliwości poznania mężczyzny, którego częścią była. Niezależnie od tego, jak bardzo bolesne miałyby to być doświadczenie.

Poza tym będzie miała okazję ponownie zobaczyć się z Jemem. Mężczyzną, który sprawił, że to spotkanie w ogóle doszło do skutku, ponieważ zrobił to, co obiecał zrobić.

Nie oczekiwała tego, więc tym większa była jej radość. W dzień po wieczorze charytatywnym gotowa byłaby przysiąc, że ta sprawa w ogóle go nie obchodzi. A jednak zadzwonił do niej. I otworzył jej drzwi do ojca.

Kiedy Jem przekazywał jej dobrą wiadomość, wydawało się jej, że w jego głosie usłyszała gniew. Nie poczuła się specjalnie zaskoczona. Przecież dotychczas był głęboko przekonany, że wicehrabia Pulborough nie może być jej ojcem, więc teraz z pewnością trudno mu się przyznać do pomyłki. To jej matka miała rację.

Eloise szła w stronę domu Jema. Był to piękny, solidny budynek z czerwonej cegły, o dwuspadowym dachu. O takim domu wszyscy marzą. Przypominał ilustracje w książkach dla dzieci. Był zupełnie inny niż ten w Birmingham, w którym się wychowała.

Poczucie niesprawiedliwości, tłące się w niej od kilku tygodni, zapłonęło żywym ogniem. Chciała, żeby wicehrabia Pulborough zrozumiał, czego odmówił jej matce, i jak wyglądało ich prawdziwe życie. Musiał się dowiedzieć, ile bólu im zadał.

A kiedy już będzie wiedział, co zrobił, wtedy ona odejdzie. Wkrótce znajdzie się znowu w Londynie, a on będzie mógł dalej wieść swoje wygodne życie. W końcu to on wybrał takie rozwiązanie.

I nie miało dla niej znaczenia, czy spodoba się to Jemowi, czy nie. Choć z drugiej strony rozumiała doskonale, że Jem chciał za wszelką cenę chronić ojczyma.

Zadzwoiła do drzwi. Niemal natychmiast otworzył je mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat, ubrany w czerwoną koszulę. W rękę trzymał kubek z kawą.

Już chciała przeprosić, że źle trafiła, gdy mężczyzna się odezwał:

- Pani zapewne szuka Jema?

- Tak...

- Jest na górze, w warsztacie.

Musiała mieć niepewną minę, bo dodał:

- Zaprowadzę panią. Będzie zachwycony wizytą. Łyknął kawy i odstawił kubek na stół obok wejścia.

- Bess, chodź tutaj.

Z holu przybiegł brązowy labrador i trącił nosem jego dłoń.

- Nie ma pani nic przeciwko psom? - zapytał, widząc jej zdziwienie.

- Nie - odparła ostrożnie. - Po prostu nie jestem do nich przyzwyczajona. - Spojrzała na swoje jasnokremowe spodnie. - Czy ona lubi skakać na ludzi?

- Nie. To już stara dama. - Mężczyzna zamknął drzwi i wskazał ręką przed siebie. - Tam jest warsztat. Tylko kilka schodków. A tak przy okazji, jestem Matt. - Odwrócił się do niej z uśmiechem. - Opiekuję się tu wszystkim.

- Eloise Lawton - przedstawiła się. - Dużo osób tu pracuje?

- Sporo. Ta posiadłość ma około pięciu hektarów. No i jest jeszcze Coldwaltham Abbey. Zawsze znajdzie się coś do naprawy.

Eloise skinęła uprzejmie głową.

- Jestem głównym stolarzem. Zaczynałem jako praktykant u Peta, a później, kiedy odszedł, przejąłem jego stanowisko.

- Przeszli kilka metrów i Matt krzyknął: - Jem, masz gościa. Eloise poczuła, że uginają się jej kolana.

- Przyszłaś wcześniej - usłyszała znajomy głos.

Jem wyszedł z warsztatu, mrużąc oczy przed promieniami słońca. Wyglądał inaczej niż wtedy, kiedy widziała go po raz ostatni. Zamiast ekskluzywnego garnituru miał na sobie sprane dzinsy i mocno znoszoną koszulkę. Zrobił na niej piorunujące wrażenie. Poczowała łaskotanie w żołądku. Jem był ucieleśnieniem kobiecych marzeń. Chodzący seksapil, jak to określiła Cassie. Eloise wciąż pamiętała to uczucie sprzed kilku dni, gdy podszedł i ujął jej twarz w dłonie, a potem intensywnie patrzył jej w oczy. Zbliżył się powoli.

- Nie spodziewałem się ciebie przed dziesiątą.

- Przecież jest już wpół do jedenastej. Jem spojrzał na swój zegarek.

- Cholera, naprawdę już tak późno?

- To ja się zbieram - odezwał się Matt, wręczając Jemowi pęk kluczy. -

Niektórzy z nas mają pracę do wykonania. Zabiorę Bess. Widać, że chciałyby się przejść.

- Dzięki. - Jem skinął głową, a potem spojrzał na Eloise. - Wezmę tylko marynarkę i zamknę pracownię. - Spojrzał na swoje zaplamione dłonie. - I umyję ręce - dodał.

- Czy pójdziemy tam pieszo? - spytała, idąc za nim.

Starła się nie zwracać uwagi na jego umięśnione ciało i obcisłe dzinsy, choć nie było to łatwe. Co się ze mną dzieje? - myślała. Jem Norland był ucieleśnieniem wszystkiego, czego nie znosiła. Należał do wyższych sfer. Powinna skreślić go już na samym początku znajomości.

- Nie, to za daleko. Pojedziemy moim samochodem. Zaprowadził ją do pracowni, w której było duszno od kurzu i zapachu drewna. Rozejrzała się ciekawie.

- Tutaj pracujesz?

Pokiwał głową.

- To mój prywatny teren. Wszystko, co tutaj robię, zostawiam dla siebie.

Wyciągnął rękę i pieszczotliwie musnął palcami powierzchnię pięknego okrągłego stołu. W ten sposób mógłby dotykać kobiety, którą kochał. Eloise z trudem odwróciła wzrok, czując, że ta myśl wywołała wyraźne rumieńce na jej policzkach.

Skąd jej się to brało? Pewnie z powodu napięć i huśtawek emocji, jakie ostatnio przeżywała. Z pewnością o wiele łatwiej przeszłaby przez te trudne chwile, gdyby miała u boku wspierającego ją mężczyznę.

Ale to nie mógł być Jem, choć jego siła uwidaczniała się na każdym kroku. Miał w sobie coś takiego, co budziło zaufanie.

Jem podszedł do małej umywalki znajdującej się w drugim końcu pracowni. Spojrzał na Eloise przez ramię.

- Jak się czujesz? - zapytał.

Nie potrafiła odpowiedzieć. Była zdenerwowana, smutna, chora i przybita.

- Nie wiem - odparła zgodnie z prawdą. - Chyba jestem trochę przestraszona.

Pokiwał głową, jakby właśnie takiej odpowiedzi się spodziewał.

- Dziękuję ci za zorganizowanie tego spotkania - zmieniła temat.

- Nie masz mi za co dziękować. Zrobiłem jedynie to, do czego się zobowiązałem. - Wytarł ręce ręcznikiem.

- Myślę, że zrobiłeś znacznie więcej.

- Doprawdy? - Złożył ręcznik i sięgnął po sweter. - Jestem ci winien przeprosiny.

- Z jakiego powodu?

Odwrócił się przodem, a Eloise zaczęło brakować tchu.

- Ponieważ ci nie wierzyłem.

- Wiem - odparła, zwilżając wyschnięte usta.

Zjawiała się w rodzinie, która z całą pewnością jej nie oczekiwała. Czy mogła spodziewać się przychylności? Z pewnością nie, pomyślała, choć wcześniej ani razu nie próbowała wczuć się w sytuację kogoś z nich.

Och, jaka była naiwna i niesprawiedliwa. Skupiała się wyłącznie na swoich uczuciach. Na swoim gniewie i rozgoryczeniu. Tymczasem wicehrabia Pulborough miał przecież rodzinę i był przez nią kochany. Być może jej poczynania w okrutny sposób odsłoniły jego najgłębiej skrywany i najbardziej wstydlivy sekret. Może on także obawia się dzisiejszego spotkania. Jej matka pewnie wiedziała o tym, ale kochała go mocno i dlatego zdecydowała się milczeć.

Eloise nie pomyślała o tym wcześniej.

- Laurence był zasmucony, że nie pokazaliśmy mu twojego listu natychmiast. Stwierdził, że nie mieliśmy prawa ukrywać przed nim tej wiadomości. Od razu rozpoznał twoją matkę na zdjęciu.

Eloise poczuła ucisk w gardle i piekące łzy w oczach.

- Na... naprawdę?

- Tak. Nazywał ją Nessa.

- Babcia też ją tak nazywała - odparła z rosnącym podnieceniem.

Jej serce aż zadrżało.

Jem udawał, że nie zauważa kłębiących się w niej emocji. Obszedł dookoła okrągły stół i mówił dalej:

- Nie mogliśmy odnaleźć żadnego dokumentu dotyczącego zatrudnienia Vanessy Lawton w Coldwaltham. Czy wspominałem ci już o tym? Kiedy dostaliśmy twój list, spędziliśmy naprawdę sporo czasu na poszukiwaniach.

- Mama była sekretarką - wyjaśniła Eloise.

- Wicehrabia mi powiedział. Została zatrudniona do przepisywania notatek do jego książki.

Eloise z trudem powstrzymywała napływające łzy. Jem podszedł bliżej.

- Ale jej nazwisko nie pojawia się w dokumentach pracowników posiadłości.

Dotknął jej policzka. Nawet nie drgnęła. Stała bez ruchu jak przygwożdżona, a on nie przestawał jej dotykać. Wiele by dała, by móc się do niego przytulić całym ciałem.

A może wcale tego nie pragnęła? Targały nią sprzeczne uczucia. Zawsze była bardzo zdecydowana, konsekwentna w dążeniach, teraz jednak nic nie było pewne. Nie wiedziała nawet, co powinna myśleć i czuć.

- Przykro mi - powiedział miękko. - Naprawdę mi przykro - dodał i odsunął dłoń od jej twarzy.

- A co mówił o mnie? - odważyła się zapytać.

- Na pewno sam ci to powie.

Eloise poczuła, jak jej żołądek ściska się boleśnie, a słowa więzną w gardle. Nigdy jeszcze nie była tak przestraszona. Przygotowywała się na odrzucenie, nawet na agresję, a jednocześnie rodziła się w niej nadzieja na...

Na co? - spytała samą siebie.

Nie była pewna, czego naprawdę pragnie.

Akceptacji? Poczucia, że nie była tylko efektem „wpadki”, której wszyscy żalowali?

A gdzie w tym całym obrazku powinna umieścić Jema i swoje uczucia do niego?

Nie miała pojęcia.

- Powiedział tylko - kontynuował Jem - że Aleksander Pope napisał wiersz, w którego tytule pojawia się twoje imię.

Eloise zamarła. Próbowała zrozumieć znaczenie tych słów.

- Wiem. W 1717 roku albo coś koło tego. To jeden z niewielu jego wierszy poświęconych miłości. Mama miała kopię tego utworu. To stąd się wzięło... - zawahała się. Moje imię, dokończyła w myślach.

I wreszcie wszystko stało się dla niej jasne.

- Laurence napisał książkę o angielskich poetach osiemnastego stulecia.

Literatura tego okresu to jego pasja. - Jem odwrócił się, ale Eloise zdążyła jeszcze zauważyć jego znaczące spojrzenie. - Lepiej zbierajmy się do Abbey. On już tam na nas czeka i chce z tobą porozmawiać. - Sięgnął po pęk kluczy zawieszony na haku.

Eloise poczuła, że choć zaszła już tak daleko, nadal paraliżuje ją strach przed tą rozmową. Byłaby szczęśliwa, gdyby Jem oznajmił, że wicehrabia zmienił zdanie i nie zamierza się z nią spotkać. Do tej pory zniosła wszystko mężnie, ale co ją czekało w Abbey? Nie była pewna, czy ma na to wystarczająco dużo sił.

- Czy będziesz tam ze mną?

- Jeśli mnie potrzebujesz.

Zadrżała, słysząc te słowa. Czy go potrzebuje? Z pewnością. I to nie tylko w czasie tej rozmowy.

- Czy mam się spotkać z kimś jeszcze?

- Nie.

Takiej odpowiedzi oczekiwała, ale kiedy usłyszała krótkie „nie”, zapragnęła się dowiedzieć, dlaczego nikt inny nie zechciał jej poznać. Czy wicehrabia zamierzał nadal ukrywać przed całym światem fakt jej istnienia? Czy była dla niego jedynie powodem do wstydu?

- Moja matka nie chciała się mieszać w tę sprawę, a w tej chwili w Abbey nie ma nikogo innego.

Więc nie pozna nawet Aleksandra, swego czternastoletniego przyrodniego brata.

Spojrzała na Jema. To dziwne. Nie pomyślała o tym wcześniej. Nie łączyły jej z Jemem więzy krwi, ale mieli wspólnego przyrodniego brata. I on będzie ich łączyć już na zawsze.

- Aleks jest w szkole - wtrącił Jem, najwyraźniej czytając w jej myślach. - A Belinda z mężem wyjechali do Chichester.

Belinda. Jej przyrodnia siostra. Eloise widziała jej zdjęcie w internecie, jednak nawet przez chwilę nie pomyślała, co w tej sytuacji mogła czuć ta kobieta. Istnienie Eloise oznaczało bowiem, że matka Belindy została zdradzona i okłamana.

Eloise wiedziała, że Belinda ma czterdzieści lat, jej mężem jest Piers Atherton i że nie mają dzieci. Znała pewne fakty, ale szukała za nimi emocji.

- To nawet lepiej, że ich nie ma w domu - stwierdziła, wychodząc z pracowni.
- Laurence też był tego zdania.
- Belinda mnie pewnie nie polubi, prawda?
- Raczej nie - odparł Jem.

Zabrzmiało to dość okrutnie, choć nie spodziewała się niczego innego. Do tej pory myślała tylko o tym, że jej przyrodnia siostra żyje w dostatku, że nigdy niczego jej nie brakowało, podczas gdy ona...

Podczas gdy ona miała matkę, która ją kochała. A matka Belindy była chora i w końcu zmarła. Eloise nagle zaczęła dostrzegać niuanse, z których wcześniej nie zdawała sobie sprawy. Wprawdzie nie miała możliwości uczęszczania do najlepszych szkół, podróżowania czy pobierania lekcji gry na instrumentach, nie posiadała też własnego kucyka jak Belinda, jednak nigdy nie czuła się niekochana.

Nigdy.

Dla matki zawsze była kimś specjalnym, wyjątkowym.

- Czy Belinda wie o moim istnieniu?
- Tak, Laurence jej powiedział.

Mogła się tylko domyślać, co Belinda o niej myśli i jak trudna mogłaby być ich rozmowa. Minęli mały dziedziniec.

- Dlaczego nazywasz go Laurence? - zapytała nieoczekiwanie.

Jem otworzył drzwi swojego zielonego land rovera.

- A jak powinienem go nazywać? Nie jest przecież moim ojcem.

Obszedł samochód i wsiadł.

- Moja matka wyszła za niego za męża, kiedy...

- Kiedy miałeś piętnaście lat - dokończyła Eloise. - Wiem. Przeczytałam o tym.

- No tak, zrobiłaś dokładny wywiad. Zapomniałem. - Uśmiechnął się.

- Po prostu byłem ciekawa.

- Oczywiście.

Patrzyła, jak zgrabnymi palcami wsunął kluczyk w stacyjkę samochodu i włączył silnik.

- Nie miałeś nic przeciwko temu, że twoja matka chciała go poślubić?

Jem spojrzał zaskoczony.

- Po prostu jestem ciekawa - usprawiedliwiała się Eloise. Piętnaście lat to trudny wiek.

- Szczerze mówiąc, byłem zazdrosny jak diabli. Na początku.

Jem ponownie spojrzał na drogę. Prowadził pewnie, lekko przesuwając dłońmi po kierownicy.

- Uczyłem się wtedy w szkole z internatem. Wróciłem do domu dopiero na Boże Narodzenie i zdałem sobie sprawę, że nie jestem już dla matki najważniejszy. Wierz mi, to wcale mi się nie podobało.

- Wyobrażam sobie.

Jem uśmiechnął się, a w jego policzkach pojawiły się dołeczki.

- Trochę skomplikowałem sobie życie. Nawet wywalili mnie ze szkoły.

- A teraz go lubisz?

Jem zawahał się, zanim odpowiedział.

- Jest dla mnie lepszym ojcem, niż mój rodzony kiedykolwiek. I jestem mu za to wdzięczny.

Eloise chętnie dowiedziałaaby się, co miał na myśli, ale najbardziej zależało jej na tym, by przerwać kłopotliwą ciszę, która nastąpiła po tym wyznaniu.

- Ja też nie chciałam, żeby moja mama ponownie wychodziła za mąż. Bardzo mi się podobało, kiedy byłyśmy tylko we dwie.

- Mama nikogo nie miała?

- Pewnie ktoś by się znalazł, ale ja skutecznie temu przeszkadzałam. - A po chwili dodała cicho: - Chętnie bym to zmieniła, gdybym tylko mogła.

- Naprawdę?

Nie przyszło jej wcześniej do głowy, że matka musiała się czuć bardzo samotnie.

- Nie o takim życiu marzyła.

Na wszystko było już jednak za późno. Matka nie żyła. Eloise popadła w przygniatające przygnębienie. Patrzyła na swe ręce oparte bezradnie na kolanach i widziała pojedynczą łzę, spływającą wolno po dłoni.

- Ona na pewno cię rozumiała - powiedział Jem pocieszająco.

- Ale nie jestem pewna, czy zrozumiałaby, dlaczego to robię - dodała, wycierając oczy. - Dlaczego tak bardzo chcę się skontaktować z ojcem? Przecież minęło tyle lat. To spotkanie może jedynie wywołać ból.

Nie powiedział ani słowa. Patrzył na drogę i prowadził, nie odwracając się w jej stronę. Eloise wiedziała, dlaczego tak się zachowuje. Nie musiał jej tłumaczyć, jaki wpływ na jego rodzinę będzie miało nieoczekiwane pojawienie się nieślubnej córki wicehrabiego.

- Ale to nie moja wina - Eloise czuła się w obowiązku wyjaśnić. - Możesz za to winić wyłącznie swojego ojczyma.

- I twoją matkę - dodał Jem. - Do romansu potrzebne są dwie osoby.

- Ale moja matka nie była wtedy w żadnym związku.

- Wiedziała jednak, że Laurence ma żonę - argumentował. - Nie próbuj przerzucać odpowiedzialności. Nie wiemy przecież, co ich łączyło.

Eloise zacisnęła pięści.

- Wiem tylko, że była o dwadzieścia siedem lat młodsza od niego. Miała zaledwie dziewiętnaście lat. Tylko dziewiętnaście.

Tyle samo, co twoja Sophia Westbrooke, pomyślała i poczuła, że więzy łączące ją i Jema to iluzja. Nic o nim nie wiedziała. I chyba nawet nie chciała wiedzieć.

- A twoim zdaniem, kto tu jest bardziej winny? - zapytała ze złością.

- Porozmawiaj z Laurence'em - odparł cicho Jem. - I sama osądź.

To była bardzo rozsądna rada. Tak wiele zależało od tego, co powie wicehrabia Pulborough. Eloise odwróciła się, żeby spojrzeć w okno. Posiadłość Coldwaltham rozpościerała się po obu stronach drogi. I to wszystko należało do jej ojca. Czy to tym właśnie matka była tak zauroczona i dlatego pozwoliła sobie na romans?

Przed nimi pojawiła się potężna budowla. Okazałe Coldwaltham Abbey, zbudowane z jasnego kamienia, nadawało okolicy magiczny, trochę przerażający charakter. Minęli potężną żelazną bramę, przejechali wzdłuż pastwiska i dotarli do wypielegnowanych ogrodów. Otaczały je zewsząd zadbane trawniki.

Fakt, że to wszystko należało do jej ojca, powodował, że narastał w niej gniew.

- Bawiłeś się tutaj? - spytała, zerkając na Jema.

- Nie. Posiadłość jest udostępniana zwiedzającym przez większość letnich dni

- wyjaśnił. - Z tyłu, obok budynków służby, znajduje się niewielki, ogrodzony teren, przeznaczony dla rodziny.

To dość dziwne, pomyślała Eloise, mieć taką wspaniałą posiadłość i nie móc z niej w pełni korzystać.

- Tam są korty tenisowe. - Jem wskazał przed siebie. - A za nimi stajnie.

Mamy siedem koni, z czego cztery są moje.

- No jasne, przecież grasz w polo - skomentowała niezbyt życzliwie.

Jem zatrzymał samochód na małym podjeździe.

Z bliska Coldwaltham Abbey sprawiało wrażenie zimnego i nieprzystępnego, jak posepne, opustoszałe muzeum. A na pewno nie jak dom rodzinny. Eloise przestraszyła się na myśl, że właściciel posiadłości okaże się równie nieprzystępny.

- Gotowa? - spytał Jem, otwierając drzwi.

Spięta i przestraszona wysiadła z samochodu. Wcale nie czuję się gotowa, przyznała w duchu.

- Zaprowadzę cię do Laurence'a.

Kiwnęła głową, choć nogi się pod nią uginały. Ruszyła za Jemem, ale w środku wszystko rwało się do ucieczki, a ucisk w żołądku nie pozwalał logicznie myśleć.

Wreszcie dotarli do końca długiego korytarza.

- Przedstawię cię i zostawię was samych. Czy tego chcesz? Myślę, że tak będzie lepiej - dodał Jem, widząc panikę w jej oczach.

- Pewnie masz rację - zgodziła się. - Jak wyglądam? Twarz mu drgnęła, ale odparł natychmiast:

- Cudownie. Nie bój się, polubisz go. - A po krótkiej pauzie dodał: - A Laurence cię pokocha.

Nacisnął klamkę starych, masywnych drzwi i chwilę później znaleźli się w ogromnym pokoju. Mimo ciężkich, dębowych mebli, pomieszczenie nie było ponure. Na stole stały świeże kwiaty.

- Laurence nie najlepiej zniósł operację i nadal musi pozostawać w łóżku - wyjaśnił Jeremy.

Eloise spojrzała w kierunku drzwi prowadzących do następnego pokoju, ale nic nie odpowiedziała. Ze strachu ledwo mogła oddychać.

Jem odwrócił się do niej i dotknął jej policzka.

- Powodzenia - powiedział łagodnie.

Stała jak zahipnotyzowana. Czowała, że chciał ją pocałować. Od nadmiaru emocji kręciło się jej w głowie.

Jem cofnął gwałtownie dłoń, jakby uświadomił sobie, co robi. Pchnął drzwi do pokoju.

- Laurence, przyprowadziłem ci Eloise Lawton.

Weszła do środka. Niespodziewanie histeryczną wręcz panikę zastąpił spokój. Wyraz twarzy starszego pana siedzącego na łóżku przegnał resztki niepewności.

To był człowiek, którego kochała jej matka.

To był jej ojciec.

Przez ostatnie tygodnie próbowała wyobrazić sobie, jak będzie wyglądał, teraz miała możliwość skonfrontowania wyobrażeń z rzeczywistością. Odniosła wrażenie, że starszy pan wyczekuje wybuchu jej gniewu.

Przypatrywał się jej uważnie.

- Eloise? - spytał miękko.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Do diabła! - pomyślał Jem. Ledwo powstrzymał się przed pocałunkiem. Musi zacząć lepiej panować nad swoimi odruchami.

Zostawił Eloise i Laurence'a samych, wrócił do pierwszego pokoju i usiadł na krześle.

Chciał być życzliwy wobec obojga. Pragnął dawać poczucie bezpieczeństwa zarówno Eloise, jak i Laurence'owi, ale najbardziej chciał pomóc własnej matce. Gdyby odmówił przywiezienia Eloise tutaj, matka zrobiłaby to sama.

O mały włos, a pocałowałyby tę dziewczynę. Ta myśl nie dawała mu spokoju. Przecież nie taki miał plan. No właśnie, zapomniał, jaka była piękna... Potarł twarz dłońmi, jakby próbując wymazać z pamięci obraz Eloise. Bezskutecznie.

Znów zaklął pod nosem. Nie zamierzał interesować się kobietą, która mogła mieć tak fatalny wpływ na jego rodzinę, a po tym wszystkim, co odkrył na temat

miłości i małżeństwa, powinien zachować zdrowy rozsądek i w nic takiego się nie pakować.

- Poszła sobie?

Podniósł gwałtownie głowę na dźwięk głosu Belindy.

- Pytam, czy sobie już poszła - powtórzyła Belinda. - Minęłam się z nią?

- Jeśli masz na myśli Eloise, to jest teraz z nim - odparł i wstał. - Co tu robisz?

Umówiliśmy się...

- Ty się umówiłeś. Ja nie przypominam sobie, bym cokolwiek mówiła. -

Belinda poprawiła płaszcz i dodała: - Chcę ją zobaczyć i ocenić, czy rzeczywiście warta jest tego całego zamieszania.

Jem ruszył w jej stronę ze zmarszczonym czołem.

- Belindo, dobrze wiesz, że to nie jest dobry pomysł. A już na pewno fatalny moment.

Kiedy znalazł się na wyciągnięcie ręki od przyrodniej siostry, doleciał go zapach sfermentowanego alkoholu. Odruchowo spojrzął na zegarek i z przerażeniem zauważył, jak wczesna była pora.

Belinda wykrzywiła twarz w grymasie niezadowolenia.

- To nie twój ojciec, choć on sam lubi udawać, że tak jest. Jest moim ojcem, który oszukał moją matkę. Rozumiesz?

- Rozumiem przede wszystkim, że to nie jest sposób rozwiązania problemu. Poza tym twoje pretensje dotyczą Laurence'a, a nie Eloise. Powiedz jemu, co czujesz...

- Tak, już to słyszałam. Powiedz mu, ale dopiero jak będzie silniejszy, tak? Ale ona może robić, co chce i kiedy chce, i wypytywać o tę swoją puszczałską matkę? - Belinda kipiała gniewem.

W tej samej chwili Jem usłyszał dźwięk otwieranych drzwi. Belinda odwróciła głowę i... Wszystko, co potem się wydarzyło, wyglądało jak w zwolnionym filmie.

Eloise patrzyła na niego pytającymi, nic nierozumiejącymi oczami. Belinda ruszyła w jej stronę, wymachując nerwowo chudymi rękami.

- A więc to ty jesteś córką Nesy? - spytała z pogardą i jednocześnie z goryczą. - Nawet wyglądasz jak ona. Też jesteś taką zdziwą?

Wulgarne, pełne nienawiści słowa długo niosły się echem w rozległym holu.

Eloise próbowała coś powiedzieć, ale nie zdążyła. Belinda rzuciła się w jej kierunku z nienawiścią w oczach.

- Belindo!

Jem skoczył na pomoc, ale było już za późno. W pomieszczeniu rozległ się głośny trzask. Belinda uderzyła Eloise otwartą dłonią w twarz. Zanim Jem zdążył chwycić rękę Belindy, ta wymierzyła jeszcze kilka ciosów, choć już nie tak siarczystych.

- Starczy, uspokój się! - warknął.

Belinda odwróciła się w jego stronę. Jej oczy płonęły gniewem i nienawiścią.

- O nie! Nie wystarczy. - Wyrwała rękę z uścisku. - Jeśli myślisz, że będę stała beczynną i patrzyła, jak ona odbiera mi ojca, to grubo się mylisz. - Wyprostowała się i ponownie spojrzała na Eloise. - Wszyscy wiemy, kim była twoja matka! Nie jesteś od niej lepsza.

Jem stanął pomiędzy kobietami.

- Wystarczy, idź do domu! - rozkazał Belindzie.

Belinda przewróciła wściekle oczami.

- Ciebie też już złapała? Lepiej uważaj - syknęła. - Takie jak ona tylko czyhają na twoją forszę. Najpierw cię pocałuje, a potem opisze to w swoim szmatławcu.

- Idź do domu - powtórzył zdecydowanym głosem Jem.

- Już idę. Powiedziałam, co miałam do powiedzenia. - Belinda odwróciła się na pięcie i wyszła.

Kiedy znikła za drzwiami, Jem zwrócił się do Eloise:

- Przepraszam, ja...

Nie wiedział, co powiedzieć. Czuł się kompletnie bezradny. Nie znajdował słów, którymi mógłby złagodzić jej ból. Patrzył tylko na wzburzoną dziewczynę i łzy spływające po jej pobladłych policzkach.

- Nienawidzi mnie - szepnęła przejęta Eloise.

- Jest zła - odparł i otoczył ją ramionami.

Wewnętrzny głos ostrzegł go, że popełnia błąd, ale nie widział innego rozwiązania. Przytulił ją mocno, aż zakręciło mu się w głowie od słodkiego zapachu jej kosmetyków.

Przyciągnął jej głowę do piersi i zanurzył palce w jedwabistych włosach. Czuł wstrząsające nią dreszcze. Wiedział, że płacze i okrutnie cierpi, ale jedyne, co mógł w tej chwili zrobić, to po prostu trzymać ją w ramionach.

Zaskoczony, uświadomił sobie, jak wielki jest żal Eloise do Laurence'a. Do człowieka, którego przecież niemal czcił.

Powoli Eloise się uspokajała. Odsunął ją delikatnie od siebie i odgarnął kosmyki włosów z jej twarzy.

- Już dobrze?

Oczy miała zaczerwienione od łez, a na policzku ślad po ciosie Belindy. Co za idiotyczne pytanie, pomyślał. Usiłował wytłumaczyć się ze swojej bezradności sam przed sobą, ale naprawdę nie wiedział, jak powinien się zachować.

Nie znosił tego uczucia. Od razu przypomniał sobie, jak stał obok szlochającej matki, wiedząc, że nic nie może zrobić, by jej pomóc.

Eloise uniosła głowę i z zakłopotaniem na twarzy powiedziała:

- Muszę znaleźć chusteczkę. - Sięgnęła do torebki. - Przepraszam - dodała po chwili.

- Za co? Wytarła oczy i nos.

- Za to wypłakiwanie się na twoim ramieniu. Nie powinieneś iść za Belindą? Bo domyślam się, że to była ona, prawda? - Wsunęła zmiętą chusteczkę do kieszeni.

- Ma naprawdę niezły cios.

- Widziałem. Przepraszam. Eloise wzruszyła ramionami.

- To nie twoja wina.

Jem wyciągnął rękę i dotknął jej policzka, na którym wyraźnie było widać odciski trzech palców.

- Jest ślad? - spytała Eloise.

- Zaraz zniknie.

- Wygląda na to, że dzieje się sporo nieoczekiwanych rzeczy - powiedziała.

- Czyżby?

- No, może niezupełnie - przyznała. - Wiedziałam, że to będzie bardzo ciężki dzień.

W milczeniu poszli razem przez korytarz. Eloise próbowała uporządkować sobie wszystko to, co powiedział jej Laurence, a Jeremy zachodził w głowę, co mogła usłyszeć.

- Kiedy musisz być z powrotem w Londynie? - spytał, przerywając niezręczną ciszę.

- Dziś wieczorem. Po południu chcę stąd wyjechać. Stała przy ogromnym oknie i wyjrzała na zewnątrz.

Widok był przygnębiający - ogołocone drzewa i zmrożona ziemia.

- Masz tu jakiś przyjaciół? - spytała.

- Nie.

Znowu zapadła kłopotliwa cisza.

Jej myśli pędziły jak szalone. Tak bardzo chciała nienawidzić wicehrabiego Pulborough, a tymczasem on okazał się ciepłym, pełnym współczucia człowiekiem. Nienawiść nie wchodziła w grę.

- Odwiedzisz jeszcze Laurence'a? - Jem przerwał jej rozmyślenia.

Do wczoraj знаła odpowiedź na to pytanie, jednak dziś nie była już taka pewna.

- Nie wiem.

Wyszli na dziedziniec i skierowali się w stronę samochodu. Jem pomógł jej wsiąść do środka.

- Nie pozwól, by zachowanie Belindy miało wpływ na twoją decyzję - powiedział.

Skinęła głową, ale nie umiała wymazać z pamięci obrazu rozwścieczonej córki Laurence'a. Czowała, że nie może jej winić, ale też nigdy jej tego nie zapomni.

- Wiesz, relacje między nią a ojcem zawsze były skomplikowane. Od czasu kiedy ją znam...

- Laurence wspominał mi o tym. - Zawahała się lekko, wymawiając jego imię, ale po chwili kontynuowała: - Obwinia siebie za ten stan rzeczy. Chciałby wiedzieć, czy ona wie o jego związku z moją mamą.

- Jak widać, wie.

- Laurence tak podejrzewa.

Eloise spuściła wzrok, czując napływające do oczu łzy. Pierwszy raz w życiu obwiniała o coś własną matkę. Czy mama zdawała sobie sprawę, jak bardzo unieszczęśliwiła Belindę? Jak ją skrzywdziła? Przez nią Belinda dorastała w samotności.

Ale czy mama nie była zbyt młoda, zbyt przytłoczona miłością, by jasno zdawać sobie sprawę, że może kogoś skrzywdzić? Do Eloise dotarło nagle, że za wszystko, co się wydarzyło, nie sposób obwiniać tylko i wyłącznie wicehrabiego.

Przeszło jej przez myśl, że może najlepiej by było, gdyby ta pierwsza wizyta u ojca okazała się jednocześnie ostatnią.

- Masz ochotę coś zjeść? Otarła łzy i spojrzała na Jema.

- Słucham?

- Jesteś głodna? - powtórzył pytanie. - Już późno, moglibyśmy zatrzymać się gdzieś na lunch.

Z radością przyjęłaby tę propozycję. Powrót do pustego mieszkania w Londynie nie nastrojał optymistycznie. Tak bardzo pragnęła z kimś porozmawiać. Ale...

- Jesteś zajęty, a ja...

Jem wzruszył ramionami.

- Ja też muszę jeść. Znam jedno fajne miejsce. Wahala się jeszcze przez moment.

- Jesteś pewien?

- Całkowicie. Z pewnością nie pożałujesz - powiedział i skręcił w boczną drogę.

Po kilku minutach byli na miejscu.

- Polubiłaś go? - spytał, kiedy wysiedli z samochodu.

- Tak - odpowiedziała cicho. - Bardzo.

- Zaczęłaś o nim mówić per Laurence.

- Sam mnie o to poprosił.

Spojrzała na niego badawczo. Być może dla niego też wszystko działo się zbyt szybko.

Miejsce, do którego ją przywiózł, okazało się uroczym, starym i typowo angielskim pubem. Weszli do środka, usiedli i zamówili jedzenie.

Jeremy zacisnął ręce na szklance z piwem i przypatrywał się Eloise w milczeniu.

- Często tu przychodzisz? - spytała zakłopotana.

- Czasami - odparł. - Z tyłu jest bardzo ładny ogród. W lecie to idealne miejsce, żeby odpocząć po pracy. Chociaż jest nawiedzone - dodał tajemniczo.

- Naprawdę?

- Tak przynajmniej mówią ludzie.

Upił łyk piwa i opowiedział historię barmanki, która zakochała się w zamożnym gościu.

- Czy on też ją pokochał?

- Ona myślała, że tak. W każdym razie pewnego wieczoru dostała liścik z prośbą o spotkanie w lasku. Nikt dokładnie nie wie, co tam się wydarzyło, ale wróciła z okropną raną na głowie i zmarła we śnie. Od tej pory podobno snuje się tu po nocach i wyczekuje swojego kochanka.

Eloise się zaśmiała.

- Wierzysz w to wszystko?

- Ja? Nie. - Jem odwzajemnił uśmiech.

- Mimo wszystko, interesująca historia.

- Musisz poprosić Laurence'a, żeby opowiedział ci podobne na temat Coldwaltham Abbey. W większości to również bajeczki, ale miło się ich słucha.

- Pewnie tak. - Jej twarz spochmurniała.

Jem jest bardzo sympatycznym facetem, pomyślała. Jakkolwiek by spojrzeć na całą sytuację, zasługiwał na zainteresowanie. Był po prostu niezwykły. Szczególnie, jeśli weźmie się pod uwagę to, co robiła ludziom, których kochał.

Byłoby lepiej dla wszystkich, gdybym odeszła, pomyślała przygnębiona.

Ale nie chciała odchodzić. Tak bardzo pragnęła poznać bliżej swojego ojca.

Kelner przyniósł zamówione dania, a ponieważ oboje byli bardzo głodni, od razu zabrali się do jedzenia.

- Smakuje ci? - spytał Jem po chwili.

- Bardzo - odparła szczerze Eloise.

- Cieszę się. Richard, właściciel pubu, to prawdziwy geniusz. Kilka lat temu uciekł z miasta i założył ten lokal.

- Ty, zdaje się, też nie przepadasz za Londynem, prawda?

- Niespecjalnie - przyznał. - Fajnie jest wpaść tam na chwilę, ale mieszkać?

Nie, to nie dla mnie. Nie cierpię tych wszystkich natuszonych spotkań i drętwych pogaduszek. W Londynie jest cała masa ludzi, których mam nadzieję nigdy więcej nie oglądać. Nudzą mnie.

Eloise przywołała wspomnienia z wielu wystawnych przyjęć, w których brała udział z racji swojego zawodu. Jem miał rację. W kółko ci sami nudziarze. Różne kreacje, różne scenariusze spotkań, ale ludzie wciąż ci sami.

Siedzieli i rozmawiali o błahych sprawach, śmiali się, żartowali. Emocje zaczęły się gdzieś ulatniać. Eloise czuła się naprawdę dobrze.

- Nie spytałeś mnie, co powiedział mi Laurence - zagadnęła w pewnej chwili.

- Jeśli uznasz za stosowne, sama mi powiesz - odparł. - A jeśli nie, to dowiem się od Laurence'a. - Uśmiechnął się.

- Naprawdę?

- Wszystko sobie mówimy, taki mamy zwyczaj.

- Jak dobrze jest być z kimś tak blisko - odparła z zazdrością w głosie. Ona nie miała nikogo, absolutnie nikogo, z kim mogłaby szczerze porozmawiać. Do tej pory niespecjalnie ją to martwiło, ale teraz zapagnęła komuś się zwierzyć.

- Masz taki ciekawy zawód - zauważył Jem, zmieniając temat.

Spojrzała na niego.

- Co ty? Jestem dziennikarką, piszę o modzie, czyli, inaczej mówiąc, zwykłą dziewczyną, której nikt nie chce spotkać na przyjęciu.

- Mam inne zdanie.

Eloise poczuła zawrót głowy. Jem patrzył na jej usta tak, że zrobiło się jej gorąco. Pragnęła się dowiedzieć, co by się stało, gdyby dotknął jej twarzy.

Speszona, spuściła wzrok, obawiając się, że on może umie czytać w myślach.

- Jak trafiłaś do tej pracy?

- Zaczynałam jeszcze w szkole. Wiesz, robiłam kawę, odbierałam telefony.

- Później poszłaś do Cambridge i z wyróżnieniem ukończyłaś literaturę angielską.

- Później Cambridge - powtórzyła zaskoczona. - Twój wywiad spisał się doskonale.

Jem się uśmiechnął, co sprawiło, że ponownie się zaczerwieniła. Nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego on tak na nią działa.

- Po studiach wróciłam do pracy dla magazynu. Tym razem jako bufetowa. Musiałam zarobić na czynsz.

- Nie brakowało ci determinacji - zauważył.

- Rzeczywiście nie - przyznała. - Nie chciałam skończyć jak moja mama...

Jem chwilę rozważał coś w myślach, po czym spytał:

- Czy rzeczywiście było tak źle?

- Przygnębiająco. - Eloise czuła, jak łzy napływają jej do oczu. - Nie możesz wiedzieć, jak to jest...

- Mylisz się. Doskonale znam to uczucie - przerwał. - Ale niekoniecznie musi mieć ono związek z brakiem pieniędzy.

Przestraszona uniosła głowę. Jego słowa były gwałtowne i pełne gniewu.

- Myślałam... - zawahała się - Myślałam, że kochasz życie w Coldwaltham.

- Znalazłem tam schronienie, ale zanim to się stało, byłem już porządnie obolały.

Zawstydzila się. Jak łatwo się zapomina, że inni też mają swoje problemy, pomyślała. Jem wyleciał ze szkoły; zapewne był trudnym dzieckiem, co łatwo wytłumaczyć strasznym przeżyciem, jakim była śmierć ojca. Belinda, która odkryła romans ojca, również nie miała szczęśliwego życia. Co człowiek, to bolesny sekret.

- Moja mama zaczęła pracę w Abbey, gdy miała dziewiętnaście lat.

Jem nie zareagował. Wpatrywał się beznamiętnie w talerz.

- Laurence mówił, że to było jak grom z jasnego nieba, że odnaleźli się jak dwie połówki jabłka. Jego żona... - Eloise przerwała gwałtownie, a łzy popłynęły z jej oczu. - Do diabła. Przepraszam, zazwyczaj tak się nie zachowuję. - Odstawiła filiżankę z kawą i skryła twarz w dłoniach.

Jeremy nachylił się i dotknął jej rąk. Wpiła palce w jego dłonie, jakby tylko to mogło utrzymać ją przy życiu. Siedzieli w milczeniu przez jakiś czas.

- Przepraszam - powtórzyła i otarła łzy. - Zdaje się, że mówię to w kółko. Nie wiem, dlaczego ciągle płaczę.

Była zakłopotana i zła na siebie. Cały spokój i luz dziennikarki Eloise Lawton gdzieś przepadł. Nie miała w tej chwili nic wspólnego z pewną siebie blondynką, jaką Jeremy poznał na przyjęciu.

- Laurence opowiedział mi o swojej żonie, Sylwii. O jej chorobie.

- Byli małżeństwem dwadzieścia dziewięć lat - wtrącił Jem.

Patrzył na Eloise i sam cierpiał. Chciał jej pomóc, nie mógł znieść jej bólu, ale to wszystko nie było takie proste. Sylwia umarła w okropnych mękach, a Laurence bardzo to przeżył.

- To była długa choroba - dodał.

- Tak, opowiadał mi o tym. Mówił, że bardzo ją kochał i cierpiał, widząc, jak się męczy, a jednocześnie zupełnie nie radził sobie z tą sytuacją. Zamknął się w sobie i starał się o tym nie myśleć.

Jem znał ten fragment historii. Laurence mówił i jemu, że żałuje, iż ostatnie miesiące życia Sylwii nie były najjaśniejszym okresem ich małżeństwa. Ale od razu romans? Jeremy nadal nie dopuszczał do siebie takiej myśli.

- Tamtego lata pojawiła się moja mama. Mówił mi, że była taka młoda, śliczna. Taka... - jej głos zadrżał - uprzejma. - Zamilkła na chwilę. Najwyraźniej walczyła ze sobą, żeby znowu się nie rozpłakać. - Ciężko powiedzieć, jak doszło do romansu. Żadne z nich tego nie planowało. Laurence powiedział, że złożyło się na to wiele małych rzeczy. Zaczęło się od wspólnej herbaty na tarasie, a wkrótce potem nie mogli bez siebie żyć.

Jem niemal słyszał, jak ojczym to mówi. Zawsze mu powtarzał, że wielkie i ważne decyzje zapadają w wyniku wielu małych, z pozoru nieistotnych spraw.

- Jak długo to trwało? - spytał.

- W zasadzie krótko. Laurence powiedział, że zakochał się od razu, kiedy mama pojawiła się w Coldwaltham. Mówił, że wniosła wiele świeżości i radości w

jego serce. Nie obawiał się niczego poważnego, bo wychodził z założenia, że dwiętnastoletnia dziewczyna nawet nie zainteresuje się starszym mężczyzną.

- Miał wtedy tylko czterdzieści trzy lata - powiedział cicho Jem.

Wobec tych słów Eloise poczuła się bezradna. Wielka łza spłynęła po jej policzku, zostawiając srebrny ślad na skórze. Jeremy otarł ją bezwiednie.

- Czytali razem poezję, dużo rozmawiali, nawet pili whisky na tarasie. - Eloise się uśmiechnęła. - Laurence niemal zapomniał, że jest żonaty, że jego żona umiera w mękach...

Uniosła głowę, szukając zrozumienia w oczach Jema. A on, ku własnemu zaskoczeniu, tym razem spełnił jej oczekiwania. Do tej pory uważał, że takie romanse są niewybaczalne, że są szczytem egoizmu i zakłamania. I być może były. Ale nie potrafił zignorować rosnącego w nim zrozumienia i współczucia.

- Wszystko się zmieniło, kiedy ją pocałował. Wcześniej żadne z nich nie czuło się winne. Jego zdaniem to był właśnie ten moment, kiedy powinni przerwać. Ale tak się nie stało. Nie potrafili bez siebie żyć.

Na twarzy Eloise pojawił się delikatny uśmiech. Odgarnęła włosy z czoła i spojrzała na Jema.

- Cieszę się, że ją choć trochę kochał. Jak myślisz, to bardzo źle?

Jeremy nie czuł się na siłach, by odpowiedzieć na to pytanie. Instynkt podpowiadał mu, że wszystko, co sprawi, że Eloise poczuje się szczęśliwsza, jest dobre, ale...

To nie w stylu Laurence'a, myślał. Wszystko zaczyna do siebie pasować, lecz to nie mógł być Laurence, powtarzał uparcie w duchu.

- Laurence nie wiedział, że mama była w ciąży - powiedziała po chwili Eloise, niemal triumfalnie. - Nie miał pojęcia o mnie.

Jeremy poczuł nagły przypływ nadziei.

- Dlaczego mu nie powiedziała?

- Nie wiem. Laurence mówi, że żałuje. Że chciałby wiedzieć. Nie jestem pewna, czy to prawda. Co by zrobił, gdyby mama mu powiedziała?

Jeremy wiedział tylko, że cokolwiek by Laurence zrobił, byłoby to na swój sposób złe.

- Co się stało z Vanessą?

- Wróciła do domu i urodziła mnie. - Eloise przerwała na widok podchodzącej do stolika kelnerki.

- Masz jeszcze na coś ochotę? - spytał Jem. - Może deser? Kawa?

Eloise pokręciła głową i zerknęła na zegarek.

- Powinnam wracać do Londynu. Nie lubię jeździć po zmroku.

- Chodźmy zatem.

Podziękował kelnerce, po czym wstali.

- Ureguluję rachunek i odwiozę cię - powiedział. - Mieszkała z dziadkami? - spytał, kiedy już wyszli na zewnątrz.

Eloise zaśmiała się głośno.

- Babcia uważała, że to okropny wstyd mieć nieślubne dziecko. Wszystkim powiedziała, że jej córka dostała atrakcyjną pracę za granicą i szybko wysłała ją do kuzyna w Birmingham.

- Powiedziałaś o tym Laurence'owi?

- Powiedziałam mu całą prawdę. Przecież nie zmienię już tego, co się zdarzyło.

- Racja - zauważył Jem. - Jak on to przyjął?

- Rozpłakał się - odparła cicho.

- Zostałyście w Birmingham?

- Mama dostała pozwolenie na powrót, ale pod warunkiem, że będzie trzymać się wersji o adopcji dziecka. Nie zgodziła się na takie rozwiązanie. Babcia kilka razy nas odwiedziła, ale my nigdy nie pojechaliśmy do niej.

- Nigdy?

- Była zażenowana zaistniałą sytuacją. Kłóciło się to z jej wizją idealnej rodziny.

- To okropne.

- Pewnie tak. - Eloise wzruszyła ramionami. - Wiesz, wielu ludzi ulega kompletnemu paraliżowi na myśl o tym, co inni o nich pomyślą.

Po chwili wahania Jem spytał:

- Czy twoja babcia jeszcze żyje? Eloise zaprzeczyła ruchem głowy.

- Umarła kilka lat temu. Prawdę mówiąc, nikt zbytnio za nią nie płakał.

Pewnie ciężko to zrozumieć, ale babcia nie była kobietą, która inspirowała do wyrażania uczuć.

Pytanie Jema po raz kolejny uświadomiło jej, jak bardzo była samotna. Nie miała już na świecie nikogo, na kim mogłaby się wesprzeć w chwilach smutku. Nikogo, z kim mogłaby dzielić radości.

Podjechali na parking, gdzie stał samochód Eloise. Podziękowała za podwiezienie i już miała odejść, gdy Jem zaskoczył ją pytaniem:

- Wrócisz?

Zawahała się.

- Nie wiem.

Podszedł do niej i spojrzał jej uważnie w oczy. Speszyla się i spuściła wzrok.

- To wszystko jest bardzo skomplikowane. Muszę to przemyśleć, poukładać sobie.

Położył dłonie na jej ramionach i przez chwilę wpatrywał się w nią.

- Wróc - poprosił cicho i pocałował ją, delikatnie i łagodnie, w czubek głowy.

Łzy napłynęły jej do oczu. Cofnęła się z nerwowym uśmiechem.

- Chyba powinnam już jechać.

- Tak.

Jem włożył ręce w kieszenie dżinsów i patrzył, jak Eloise odjeżdża.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zerknęła z wyrzutem na swoją spódnicę. Była bardzo elegancka, ale też sporo kosztowała. Doskonale nadawała się do Coldwaltham Abbey, jednak wydalana nią więcej, niż doradzał rozsądek.

I komu ja próbuję zaimponować? - pytała się w myślach. No i po co? Chciała wierzyć, że chodziło jej wyłącznie o ojca, ale... Poza nim jest jeszcze jego druga żona i przyrodnia siostra oraz brat. I jest Jem.

No właśnie... Nie podobało jej się, że tak wiele o nim myślała. Z jednej strony było to nieuniknione, ponieważ z naturalnych powodów był zaangażowany w całą tę sprawę. Z drugiej jednak, niepokoiła się, że w ogóle nie może przestać o nim myśleć. Złościło ją, że zachowuje się jak rozpalona nastolatka, która drży za każdym razem, kiedy słyszy dzwonek telefonu. Zastanawiała się, czy Jem był zadowolony, że przyjęła drugie zaproszenie do Coldwaltham Abbey, na siedemdziesiąte czwarte urodziny wicehrabiego Pulborough. Piękny wiek...

Zatrzymała się przed drzwiami. Musiała się zmobilizować. Miała wrażenie, że samotne wejście równa się zdjęciu zbroi i ryzyku, że otrzyma się cios w plecy.

Jednak ktoś patrzący z boku nigdy by chyba nie odgadł, jaką walkę toczy sama ze sobą. Niemal do perfekcji opanowała umiejętność ukrywania uczuć. Tego dnia jej doświadczenie zawodowe procentowało. Nieskazitelna fryzura, doskonały makijaż i elegancki strój dodawały jej pewności siebie. Przerazona w środku, ale opanowana na zewnątrz, wspięła się po schodach w kierunku masywnego wejścia.

- Dzień dobry, jestem Eloise Lawton - powiedziała zdenerwowana, kiedy kamerdyner otworzył drzwi.

Wściekała się na siebie, że traci głowę w najprostszycy sytuacjach.

- Rodzina oczekuje pani w sali zimowej, panno Lawton. Proszę za mną.

Przeszli przez hol i kamerdyner wprowadził ją do przestronnego pomieszczenia. Na widok czwórki ludzi przy dużym stole zacisnęła nerwowo palce na prezencie. Wszyscy odwrócili głowy w jej stronę, a Jem bardzo dyskretnie puścił do niej oko.

Dostrzegła sygnał i serce zabiło jej mocniej. Pomyślała, że jeszcze niedawno uważała go za nadętego przystojniaka, a teraz fakt, że tu był, że ją obserwował, dawał jej siłę.

Wicehrabia, jej ojciec, wstał, żeby się przywitać. Wyglądał dużo lepiej niż wtedy, kiedy widzieli się po raz pierwszy. Twarz rozświetlał mu szeroki uśmiech.

- Eloise, kochanie. Jestem szczęśliwy, że mogłaś przyjść - powiedział i poprowadził ją na środek pokoju. - To trochę śmieszne obchodzić urodziny w moim wieku, ale czuję, że w tym roku naprawdę mam powody do świętowania.

- Wszystkiego najlepszego - wymamrotała. - Przyniosłam ci taki mały prezent - ciągnęła drżącym głosem. - Nie wiedziałam, co mogłoby ci się spodobać, więc to tylko symboliczny podarunek. - Wręczyła mu paczkę przewiązaną szeroką czerwoną wstążką.

- Jestem naprawdę bardzo zadowolony, że przyszaś - powiedział. - Teraz pozwól, że przedstawię cię mojej żonie.

Poprowadził Eloise w stronę kobiety, która, co było widać już na pierwszy rzut oka, musiała być matką Jema. Uderzające podobieństwo. I te same błękitne, błyszczące oczy.

- Mów do mnie Marie - przywitała się z Eloise.

- Marie - wymówiła posłusznie Eloise i odwzajemniła uścisk dłoni.

- Domyślam się, że to bardzo delikatna sytuacja dla ciebie. Bądź jednak pewna, że wszyscy tutaj jesteśmy zachwyceni twoją obecnością w dniu urodzin Laurence'a. To dla nas ważny dzień.

- Dziękuję. To bardzo miłe.

- Mojego syna, Jema, już znasz.

Eloise spojrzała na Jema i uśmiechnęła się.

- To jest Aleksander, syn mój i Laurence'a - wskazała na sympatycznego, mniej więcej czternastoletniego chłopca.

Mój przyrodni brat, pomyślała Eloise. Przyglądała mu się z zaciekawieniem, próbując dopatrzeć się jakichś podobieństw. Aleksander robił dokładnie to samo.

- Jak się masz? - spytał z trochę nieśmiałym uśmiechem i wyciągnął rękę.

- Cudownie cię poznać. - Uśmiechnęła się.

- Usiądź, proszę, obok mnie, Eloise - wtrąciła Marie. - Masz piękne imię.

- Odziedziczyłam je po bohaterce pewnego wiersza - odparła niepewnie.

- Wiem. Inspiracja twojej mamy płynęła z pięknego, aczkolwiek tragicznego francuskiego poematu miłosnego. Czyżby podzielała uwielbienie Laurence'a dla osiemnastowiecznych poetów angielskich?

- Nie sędzę. Wicehrabia odchrząknął.

- Urodziłaś się w rocznicę narodzin autora tego wiersza. Nessa dobrze o tym wiedziała - powiedział.

- Przepraszam, że nie dałam Laurence'owi twojego listu od razu - odezwała się Marie. - Gdybym miała choćby blade pojęcie o jego kontaktach z twoją mamą, zrobiłabym to natychmiast. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Przez chwilę Eloise nie mogła wydobyć z siebie głosu. Wreszcie powiedziała cicho:

- Oczywiście.

- Sądziłam, że mój mąż nie ma przede mną żadnych tajemnic - kontynuowała Marie. - Ale okazało się, że wciąż potrafi mnie zaskakiwać.

Wicehrabia stanął za żoną i położył rękę na jej ramieniu. Marie ujęła jego dłoń.

- Otwórz swój prezent - zaproponowała. Jem wstał od stołu i podszedł do barku.

- Na co masz ochotę? - spytał Eloise.

- Na nic, dziękuję.

Była zbyt zdenerwowana, żeby cokolwiek przełknąć. Przyglądała się Jemowi, gdy podawał mamie szklaneczkę sherry. Zastanawiała się, jak by to było, gdyby wychowywała się tutaj. Poczowała ukłucie zazdrości. Po raz pierwszy w życiu zrozumiała, co ludzie mają na myśli, mówiąc, że ktoś jest uprzywilejowany i dlatego ma lepszy start.

Wicehrabia rozpakował prezent. W środku była biografia Samuela Johnsona.

- Tę książkę napisał mój przyjaciel ze studiów - powiedziała Eloise takim tonem, jakby chciała przeprosić za prezent niewystarczająco godny wicehrabiego.

- Cambridge - wyjaśnił Jem. - Literatura angielska. Laurence spojrzał podejrzliwie na Eloise.

- To przecież mój uniwersytet - zauważył. - Cieszę się, że odziedziczyłaś po mnie zamiłowanie do książek.

- A czy widziałaś książkę Laurence'a? - spytała Marie.

- Nie.

- Och, Laurence - zwróciła się do męża. - Powinieneś jej pokazać.

Zadedykował ją Nessie, czyli twojej mamie, prawda? - spojrzała ponownie na Eloise.

- Zaraz ją przyniosę z biblioteki. - Laurence zamknął biografię i wstał od stołu.

Marie powstrzymała go ruchem ręki i zwróciła się do Jema:

- A może ty zabrałbyś Eloise do biblioteki? Jestem przekonana, że chętnie obejrzy tę książkę. Mamy czas, szczególnie że wciąż czekamy na Belindę i Piersa.

- Ale nie trzeba. - Eloise najwyraźniej była zakłopotana całą sytuacją. -

Naprawdę to...

Marie przerwała jej:

- Jeszcze do niedawna nie miałam pojęcia, kim była Nessa ani jaką rolę odegrała w życiu Laurence'a. Poza tym - dodała, widząc zdumienie w oczach Eloise

- nie ma sensu, żebyśmy udawali przed sobą, że nie wiemy tego, co wiemy. To przecież śmieszne. Szczególnie że jesteś tak uroczym uzupełnieniem naszej rodziny.

- Chodź - odezwał się Jeremy, wstając od stołu.

Eloise chwyciła posłusznie wyciągniętą dłoń i poszła za Jemem.

Rozmawiając, weszli do biblioteki. Jeremy podszedł do jednej z półek.

- Zajmuje dumne miejsce pomiędzy pierwszymi wydaniem Dickensa i Keatsa

- powiedział.

Eloise otworzyła książkę z bijącym sercem.

„Dla Nesy z miłością”, przeczytała dedykację. Nie była to co prawda ślubna obrączka, ale mimo wszystko, czarno na białym, publiczne wyznanie uczuć.

Świadectwo, że mama była kochana.

A więc Eloise była owocem miłości dwojga ludzi.

- Mam jedną w domu. Pożyczę ci - powiedział Jem.

- Nie trzeba. Już zamówiłam egzemplarz przez internet - oświadczyła.

Czuła się szczęśliwa i bardzo podekscytowana. Odkrycie, że mama była kochana przez Laurence'a, zdjęło kamień z jej serca. Tak bardzo nie chciała być przypadkowym istnieniem.

Przypomniała sobie Belinę. Nie dziwiła się jej gniewowi. Laurence zadedykował swoje dzieło nie żonie, nie córce, ale jakiejś obcej kobiecie.

- Czy Belinda cały czas mnie nienawidzi?

- Rozmawialiśmy o tym. Cóż, chyba ciężko jej będzie cię pokochać. Mam nadzieję, że potrafisz to sobie wytłumaczyć i zrozumieć.

- Nie powinnam tu przychodzić - powiedziała ze smutkiem w głosie.

- Bardzo się cieszę, że jednak jesteś - odparł łagodnie.

- Naprawdę? - spytała z nadzieją.

- Oczywiście. Nie należy uciekać przed prawdą.

- Nawet jeśli okazuje się bolesna?

- Nawet wtedy.

Wyrzała przez okno. Zamyśliła się, a po chwili powiedziała:

- Mało brakowało, a rzeczywiście bym nie przysłała. Sądziłam, że twoja mama mnie nienawidzi, że... - zawahała się, szukając odpowiednich słów.

- Ona nie jest taka.

Przyznała mu w duchu rację. Marie była kobietą pełną ciepła i zrozumienia. Przyjęła Eloise wspaniale, dając jej wyraźnie do zrozumienia, jak ważna jest dla całej rodziny.

- Ale... - zaczęła jeszcze raz zakłopotana - ty sam nie chciałeś mi uwierzyć.

Podszedł do niej i otulił ją ramionami, a ona złożyła głowę na jego piersi i dała się uspokoić miarowym biciem jego serca.

- To nie chodziło o ciebie.

- Nie?

Przytrzymał jej twarz i spojrzał w oczy. Przez chwilę po prostu patrzyli na siebie.

- Nie o ciebie, tylko o mnie - powiedział w końcu.

- Nie rozumiem.

Ale Jem nie chciał niczego wyjaśniać. Eloise miała rację, pomyślał, kiedy mówiła, że pewne sprawy są zbyt bolesne, by wywlekać je na światło dzienne.

Po przeczytaniu listu odniósł wrażenie, że historia zatacza koło. Wszystkie kłamstwa, jakie otaczały go w dzieciństwie, powróciły niczym upiory przeszłości. Być może to on cierpiał najbardziej, kiedy poznał prawdę. Okazało się, że jego największy autorytet wcale nie jest taki idealny.

Jeremy rozumiał, że w całej tej sprawie nie ma winy Eloise.

To naturalne, że mając za sobą dzieciństwo bez ojca, chciała poznać prawdę, jednak jej istnienie oznaczało dla Jema utratę całej wiary, jaką pokładał w ojczymie.

Przytulił ją mocniej. Zapach jej włosów i ciepło jej ciała sprawiały mu przyjemność. Pragnął ją całować, by w ten sposób zetrzeć ból z jej pięknej twarzy.

Zaraz jednak się opanował. Eloise była w tej chwili zbyt bezbronna, a poza tym w gruncie rzeczy tak naprawdę nie miał pewności, czego chce. A może raczej, poprawił się w myślach, nie wiem, jaka będzie jej reakcja na pocałunek. Czuł się zakłopotany, że tak go podnieca. Do tej pory wydawała się chłodna i zdecydowana, ale teraz zrozumiał, że w rzeczywistości była łagodna i dobra. Bezbronna. Czuł wewnętrzną potrzebę ochrania jej. Sprawienia, by czuła się kochana i szczęśliwa.

Laurence szczerze się wzruszył i ucieszył, kiedy dowiedział się, że ma córkę, ale Eloise nie była naiwna. Doskonale wiedziała, co w tej sytuacji czuje Belinda. Jeremy nie usprawiedliwiał jej zachowania, choć doskonale rozumiał motywy.

Pomyślał, że Eloise również je rozumie. I pewnie dlatego nie powiedziała nic Laurence'owi.

Zerknął na zegarek.

- Powinniśmy wracać. Belinda i Piers zapewne już przyjechali.

- Dobrze - zgodziła się Eloise, ale nerwowo patrzyła po półkach z książkami, jakby w nadziei, że coś ich tu zatrzyma.

- Miała trochę czasu, żeby przyzwyczać się do twojej obecności - powiedział, odgadując jej myśli.

- Co to znaczy? - Spojrzała na niego. - Że tym razem mnie nie uderzy?

Jem ujął jej dłoń i przycisnął do ust.

- Obiecuję, że jeśli to zrobi, rzucę się przez stół na ratunek. - Uśmiechnął się, chcąc dodać jej odwagi.

- Naprawdę byś to zrobił? - Zaśmiała się.

- Tak - odparł bardzo poważnie.

Kiedy wrócili do sali zimowej, Belinda już była. Siedziała z wściekłą miną i z nikim nie rozmawiała.

Eloise podświadomie wyprostowała się i dumnie wkroczyła do środka.

Obecność Jema i dotyk jego dłoni dodawały jej odwagi. Jak dobrze, że ma go obok siebie.

- Eloise. - Wicehrabia wstał na jej widok. - Chciałbym, żebyś poznała moją córkę.

Belinda uniosła wzrok i Eloise dostrzegła w jej oczach mieszankę pogardy i strachu. Wiedziała, że Belinda jest bardzo, bardzo samotna. Miała około czterdziestu lat, ale w sercu wciąż była wystraszoną, porzuconą nastolatką.

- Miło cię poznać. - Wyciągnęła rękę w stronę siostry i odniosła wrażenie, że widzi w jej oczach wdzięczność.

- Cześć - Belinda podała jej swoją chłodną dłoń, a po chwili dodała: - Pamiętam twoją matkę.

Eloise zamarła, nie wiedząc, co nastąpi dalej. Na szczęście Jem wciąż stał za jej plecami.

- Wyglądasz zupełnie jak ona.

- Dziękuję - szepnęła Eloise, nie mając pewności, czy to komplement, czy kolejny atak.

- A to mąż Belindy, Piers Atherton - Laurence przedstawił mężczyznę stojącego przy kominku.

Eloise przywitała się uprzejmie i natychmiast poczuła, że nie lubi tego człowieka. Nie wiedziała jeszcze dlaczego, ale coś podpowiadało jej zachowanie dystansu.

Piers ujął jej dłoń.

- Niezmiernie mi miło - powiedział.

Jego lubieżne oczy mówiły wiele więcej. Eloise żałowała, że nie ma na sobie czegoś bardziej zakrywającego dekolt. Wzdrygnęła się i cofnęła rękę. Ciekawe, co skłoniło Belindę do poślubienia takiego obrzydliwego typu? - pomyślała.

- Skoro jesteśmy już w komplecie, siadajmy do stołu - odezwała się Marie.

Belinda niemal zerwała się z krzesła. Sprawiała wrażenie osoby, która marzyła tylko o tym, by cała ta impreza już się skończyła. Eloise stała chwilę bez ruchu, aż niespodziewanie poczuła dłoń Piersa na swoim nagim ramieniu. W normalnych

okolicznościach spoliczkowałaaby go i powiedziała, co może sobie zrobić z tą swoją okropną łapą, uznała jednak, że to zdecydowanie nie są normalne okoliczności.

- Pokażę ci drogę do jadalni - Jem ujął ją pod ramię.

Wdzięczna za pomoc, ruszyła u jego boku. Rzut oka na twarz Jema podpowiedział jej, że interwencja nie była przypadkowa i że Jem również nie przepadał za Piersem.

- Dziękuję - szepnęła dyskretnie.

- Eloise - zwróciła się do niej Marie, kiedy weszli już do jadalni - gdybyś usiadła między Laurence'em i Jemem, miałybyś obok siebie dwie osoby, które najlepiej znasz. Myślę, że tak będzie dobrze.

Eloise popatrzyła na Marie z wdzięcznością i zajęła wskazane miejsce.

Posiłkowi towarzyszyła miła rozmowa. Ku radości Eloise nie wydarzyło się nic niezwykłego. Nareszcie miała chwilę spokoju, by poukładać sobie wszystko w głowie i zregenerować siły.

Kiedy skończyli lunch, Marie zaproponowała kawę i chwilę później wszyscy znaleźli się ponownie w sali zimowej.

Belinda usiadła z kieliszkiem wina na sofie i wbiła w Eloise niechętny wzrok.

- Nie powiedziałaś zbyt wiele - zaczęła zaczepnie.

- Belindo! - ostrzegł ją ojciec.

- Co chciałabyś usłyszeć? - spytała spokojnie Eloise.

Belinda popijała wino już od dłuższego czasu i jej skłonność do zaczepki rosła z każdym kieliszkiem. Mimo to Eloise wciąż czuła się winna i pragnęła w jakikolwiek sposób wynagrodzić siostrze cierpienie.

- Nie wiem. - Belinda wzruszyła ramionami. - Może coś o twoim życiu.

Mieszkaś w Londynie, prawda?

- Konkretnie w Hammersmith.

- A wcześniej mieszkałaś w Birmingham, tak? Eloise przytaknęła.

- Nie masz charakterystycznego akcentu. Twoja matka pracowała? - Belinda kontynuowała atak.

- Była sekretarką.

- Naprawdę? A ja słyszałam, że sprzątaczką.

- Tak też bywało, kiedy brakowało nam pieniędzy. Rozmowę przerwała Marie, podając Eloise kawę. Belinda powstrzymała się od dalszych zaczepek.

Eloise rozglądała się wokół, odpowiadała na liczne pytania Marie bądź Laurence'a, słowem sielanka. I nagle dotarło do niej, jak bardzo nie pasuje do tego miejsca.

Pomyślała, że zapewne mama czuła to samo.

- Myślę, że powinnam już pójść - powiedziała, kiedy Jem wziął od niej pustą filiżankę po kawie.

- A może Jeremy mógłby pokazać ci okolice, zanim opuścisz Sussex? - zaproponowała Marie.

Eloise przyjęła propozycję z radością, pożegnała się ze wszystkimi i kilka minut później wyszła z Jemem na zewnątrz. Chłodny wiatr muskał ich twarze.

- Moja mama nie chciałaby, żebyś wyjeżdżała z Coldwaltham nieszczęśliwa. Spacer ma ci choć trochę wynagrodzić zachowanie Belindy, ale jeśli nie masz ochoty i zgodziłaś się jedynie przez grzeczność...

- Bardzo chętnie się z tobą przejdę - przerwała mu, nim zdążyła ugryźć się w język.

Naprawdę miała ochotę na spacer w jego towarzystwie, ale wiedziała, że przebywanie z nim nie jest mądre.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zeszli po schodach i ruszyli długą aleją. Jem wsunął ręce w kieszenie płaszcza.

- Belinda zachowała się bardzo arogancko - powiedział patrząc w stalowe niebo.

- Spodziewałam się tego. Nie powinnam w ogóle tu przychodzić, ale nie mogłam się powstrzymać - odparła i uśmiechnęła się. - Nigdy wcześniej nie miałam ojca.

- Laurence'a bardzo ucieszyła twoja wizyta.

- Naprawdę?

Spojrzał na nią.

- Jesteś dla niego jak promień słońca. Ostatnia operacja serca bardzo go osłabiła. Powiedział, że było to najboleśniejże doświadczenie w jego życiu.

- Tak mi przykro.

- Moja mama bardzo się bała o niego. - Przeszli przez dziedziniec. - Nie masz odpowiednich butów do takich długich spacerów.

Eloise podziękowała mu w duchu za wybór możliwie równej ścieżki, bo w wysokich szpilkach faktycznie nie czuła się zbyt pewnie. Wiatr podwiewał jej sukienkę. Czuła jego chłodne podmuchy na nogach.

Zamyśliła się na chwilę i nieoczekiwanie zapytała:

- Czy Belinda ma problemy z alkoholem?

- Tak. Zresztą nie tylko z alkoholem. Także z samoocena. I z własnym mężem - dodał.

- Piers sprawia odrażające wrażenie.

- Zdążyłaś zauważyć? - Jem próbował ukryć uśmiech.

- Trudno tego nie dostrzec. Cassie, moja szefowa, zna kilka dosadniejszych określeń na takich przygłupów. Dlaczego Belinda się z nim nie rozwiedzie?

- Kto to wie? Wychowała się pod opieką Laurence'a i pewnie uważa, że małżeństwo powinno trwać wiecznie, a przynajmniej po grób. - Zapadła cisza, a po chwili Jem dodał:

- Przepraszam. To mogło zabrzmieć niedelikatnie. Nie powinienem mówić takich rzeczy. Ja...

- On z całą pewnością wierzył, że małżeństwo jest świętością - Eloise przerwała mu gwałtownie. Obejrzała się na ściany domu porośnięte pnączami róż. - Żałuję, że mama mi nie powiedziała. Zupełnie nie wiem, dlaczego tego nie zrobiła. Miałyśmy takie dobre relacje... - Sięgnęła do kieszeni po chusteczkę i wytarła oczy.

- Zmarła niespodziewanie - powiedział Jem z wahaniem. - Może planowała powiedzieć ci później.

- Później? Do diabła! Miałam dwadzieścia jeden lat, kiedy umarła. Skrywała tę wiadomość jak wstydlivy sekret. - Nerwowo szarpała chusteczkę. - A może to jest wstydlivy sekret? Cholera! To, co zrobili Belindzie, to powód do wstydu. Zastanawiam się, dlaczego nikt o niej nie pomyślał.

- Jesteś wyjątkową kobietą. - Jem się uśmiechnął.

- Dlaczego? Po prostu mówię to, co myślę.

- No i to właśnie jest absolutnie wyjątkowe. Niewiele osób potrafiłoby tak przyjąć trudną prawdę.

- Jest tyle spraw, o których chciałabym wiedzieć. Żałuję, że mama mi o nich nie powiedziała, a nie znam Laurence'a na tyle dobrze, by go zapytać.

- O co na przykład?

- Na przykład o to, co powiedzieli do siebie ostatniego dnia. Przecież oboje musieli wiedzieć, że jego żona była umierająca. Dlaczego nie zdecydowali się spotkać ponownie? Dlaczego mama nie powiedziała Laurence'owi, że oczekuje

dziecka? Dlaczego nie skontaktowała się z nim, kiedy się urodziłam? Albo po śmierci jego żony? Przecież to nie ma sensu. Nie sądzisz?

To rzeczywiście nie miało sensu. Cały ten romans od początku wydawał się pomyłką.

- Nie wydaje ci się dziwne, że nie próbowali ponownie nawiązać kontaktu? - zapytała Eloise, patrząc mu w oczy.

- Nigdy do końca się nie dowiemy, co powoduje zachowaniami innych ludzi.

Matka Jema wiedziała o niewierności swego męża, ale ukrywała to przed światem. Nic go dotąd w życiu mocniej nie zdziwiło. Fakt, że chodziło teraz o Laurence'a, był dla niego szczególnie bolesny.

Pomyślał o Belindzie. Sposób, w jaki traktował ją Piers, pozostawiał wiele do życzenia, a jednak Belinda czuła się zbyt słaba, by od niego odejść. Jej pewność siebie została stłamszona. Podobnie było w przypadku jego matki.

- To jest to drzewo. - Jem wskazał na stary dąb. - Na zdjęciu, które mi dałaś, to ono właśnie jest w tle.

Eloise podeszła do potężnego pnia, nie przejmując się, że obcasz jej butów grzęzną w trawie. Dotknęła spękanej kory.

- To tutaj?

- Nie poznajesz tego miejsca?

Spojrzała na ścieżkę biegnącą w stronę domu. Od południa okna były duże i niesymetryczne.

- Czy myślisz, że ludzie wiedzieli?

- Jestem o tym przekonany. Nie da się utrzymać takiej tajemnicy. Zwłaszcza przy pracownikach i Belindzie.

- Czy jej matka się domyślała?

- To możliwe. Choć nie jest wykluczone, że Sylwia była zbyt chora, by zwracać uwagę na takie rzeczy.

Eloise się zamyśliła. Nie były to przyjemne rozważania. Niełatwo jej przychodziło pogodzić się z faktem, że mama nie była idealna. Zachowała w pamięci obraz osoby ciepłej, pomagającej innym i tak serdecznej, że dzisiaj niezmiernie trudno było jej zmienić te wyobrażenia. Egoizm, zadawanie cierpienia innym... Nie, to niepodobne do jej matki.

Zapragnęła odciąć się od tych myśli i pozostawić sobie wyłącznie miłe wspomnienia. Odkryta tajemnica sprawiła, że zaczęła myśleć w inny sposób. Jej matka nie była tylko zabawką bogatego mężczyzny. Po prostu podjęła złą decyzję. Eloise ucieszyła się, bo powoli zaczynała rozumieć całą sytuację.

Spojrzała na Jema. On także przyglądał się jej uważnie. Ile wewnętrznej siły w nim drzemie, pomyślała. Tak bardzo chciałyby mu zaufać.

Kiedy wracali, wyjęła z torebki telefon.

- Chyba powinnam zadzwonić po taksówkę. Zostaję na noc w Arundel.

- Masz tu przyjaciół?

- Nie. Po prostu nie lubię prowadzić samochodu nocą. - Jem wydawał się zaskoczony. - Wiem, że to głupie. Ale od czasu, kiedy mama zginęła w wypadku... - Wzdrygnęła się i ponownie zaczęła wybierać numer.

- To nie brzmi głupio. - Położył rękę na jej dłoniach.

Spojrzała mu w oczy i pomyślała, że to wspaniały mężczyzna. Już od długiego czasu nie myślała o nikim w ten sposób. W jej związkach za wiele było gier, udawania. Jem był inny. Wyjątkowy.

- Jeśli nie spieszysz się do Londynu, chciałbym ci jeszcze coś pokazać.

- Co takiego?

- Poczekaj. Zaraz zobaczysz.

Schowała telefon do kieszeni. Wrócili przez ogród do głównej alejki.

Coldwaltham Abbey górowało majestatycznie na horyzoncie. W tej historycznej budowli było coś, co dawało poczucie bezpieczeństwa, stałości i przynależności.

Eloise spojrzała na Jema. W wyrazie jego twarzy dostrzegła mieszaninę dumy i zadowolenia. Widać było, że naprawdę kocha to miejsce.

Powiedział jej, że w Coldwaltham rodzi się prawdziwa miłość. Coraz lepiej zaczynała to rozumieć.

Do tej pory myślała, że ludzie mieszkający w takich posiadłościach są w nich zakochani z powodu swej próżności i chęci posiadania. Patrząc na Jema, widziała prawdziwe uczucie do tego miejsca i domu. Może właśnie dlatego tu pozostał?

Czy ona sama też miałaby podobne odczucia, gdyby została wychowana w Abbey? To musi być wspaniale przynależać do jakiegoś miejsca, zapuścić korzenie, mieć wokół siebie wielopokoleniową rodzinę i przyjaciół.

No cóż, jak dotąd takie uczucia nie były jej udziałem.

I nie zanoszi się, żeby miała nastąpić jakaś radykalna zmiana. Tego dnia Eloise odczuła to szczególnie silnie. Doszła do wniosku, że nie można tak po prostu dołączyć do rodziny. Takie więzi rodzą się przez lata. Lata przebywania ze sobą, poznawania się, wspólnej pracy dla wspólnego dobra. W tej rodzinie zawsze byłaby kimś obcym. Jej obecność zawsze zadawałaby ból Belindzie.

Odwróciła się i spojrzała na profil Jema. Miał bardzo spokojny i inteligentny wyraz twarzy. Trudno jej było wyobrazić go sobie jako zbuntowanego nastolatka, walczącego ze światem.

- Co chciałeś mi pokazać? - zapytała.

- Mój projekt. Myślę, że ci się spodoba.

Nie powiedział nic więcej, tylko poprowadził ją w stronę land rovera.

- Dokąd jedziemy? - zapytała. Uśmiechnął się tajemniczo.

- To niedaleko, ale nie byłoby ci wygodnie maszerować na tych wysokich obcasach. Po co komu w ogóle obcasy? - zaśmiał się.

Eloise poczuła się lekka i wolna jak ptak. Wiatr owiewał jej ciało. W głowie zabrzmiały słowa Cassie: „Seksowny. Tak bardzo seksowny”. Jego wzrok ją uwodził.

- Możemy jechać? - zapytał z uśmiechem, otwierając drzwi samochodu.

Wsiadła i ostrożnie poprawiła spódnicę, która podwinęła się zbyt wysoko. Z zewnątrz wyglądała na osobę spokojną i opanowaną, ale w środku czuła się jak na szczycie dymiącego wulkanu.

Jeszcze nigdy nie była tak zakłopotana z powodu mężczyzny. Ani tak niepewna swoich pragnień. Czy chciała, żeby ją pocałował, przytulił, kochał? Czy takie właśnie uczucia żywiła jej matka do Laurence'a? Być może Coldwaltham Abbey faktycznie było magicznym miejscem.

Jem usiadł za kierownicą. Z pozoru on także wydawał się opanowany, ale w jego oczach dostrzegła błysk pożądania. Wiedziała, że jej fascynacja była odwzajemniona. I zupełnie nieoczekiwana. Jak to możliwe, żeby ludzie o tak różnym pochodzeniu i doświadczeniach umieli znaleźć coś, co ich łączy?

To niemożliwe. Byli dla siebie zupełnie obcy. Z drugiej strony, łączyło ich kłopotliwe powinowactwo. Ona jest przecież córką męża jego matki. Była więc między nimi niewidzialna bariera. I ryzyko, którego żadne z nich nie chciałoby podjąć.

Wszystko było nie na swoim miejscu. Eloise postanowiła, że tylko zobaczy projekt, który Jem chciał jej pokazać, a potem odejdzie. I nie chodziło wyłącznie o ten wieczór. Musi na zawsze odejść z jego życia. Nie należała do ich grona. Gdyby została, mogłaby jedynie ranić i zadawać ból.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała, patrząc w okno.

- Nadal na terenie Coldwaltham. A oto... moje dziecko.

Zatrzymał się przed budynkiem, który przypominał przerobioną stodołę. Przednią ścianę wypełniały prawie w całości wielkie okna.

- Widok jest niezwykły, prawda? - zapytał. - To Windmill Hill. Jak tylko zobaczyłem to miejsce, wiedziałem, że muszę coś z nim zrobić.

- Zapiera dech w piersiach. Należy do ciebie?

- Tak. To prezent od Laurence'a na dwudzieste pierwsze urodziny, ale zgodę na przerobienie tego miejsca na dom mieszkalny dostałem z urzędu dopiero w zeszłym roku. Od ośmiu miesięcy pracuję nad wykończeniem wnętrza.

Mówiąc te słowa, przeprowadził ją przez ciężkie drzwi. Weszli do holu, który przypominał wnętrze galerii. Pomieszczenie było ogromne, a jego centralną część zajmował okrągły stół.

Eloise podeszła z zaciekawioną i dotknęła dłonią drewnianej powierzchni.

- To jest ten stół, który sam zrobiłeś?

- Tak, to mój stół arturiański. Potrzebowałem tu czegoś, co by robiło wrażenie. To miejsce wymaga szczególnych przedmiotów. Takiego stołu nie można kupić w żadnym sklepie. Co o tym myślisz?

Była oszołomiona. Wiedziała, ile pracy, cierpliwości, nadziei i uczuć włożył w wykonanie tego mebla. Jem poprowadził ją dalej.

- Możesz rzucić to na karb mojej dziecięcej miłości do opowiadań o Królu Arturze i Rycerzach Okrągłego Stołu.

Jeszcze kilka miesięcy temu posądziłaby go, że korzysta egoistycznie z pieniędzy ojca, nie dając nic w zamian, teraz jednak widziała wyraźnie, że Jem Norland miał prawdziwy talent. Jej matka zawsze powtarzała, że zadaniem każdego człowieka jest wykorzystanie drzemiących w nim talentów. I to właśnie robił Jem.

- Co o tym myślisz? - zapytał ponownie.

- Jesteś w tym naprawdę dobry.

- Czy to cię dziwi?

Tak, chciała powiedzieć. Nie, poprawiła się. Uśmiechnął się, widząc jej niezdecydowanie.

- Tak, jestem w tym dobry. Ale bez finansowego wsparcia ze strony Laurence'a nigdy bym tego nie osiągnął.

- Skąd wiesz, o czym myślałam?

- Bo tak myślisz ty i wszyscy wokół. Całe życie musiałem walczyć, żeby udowodnić, że coś potrafię.

- Przykro mi.

- Chodź i zobacz kuchnię. Nie jest jeszcze skończona. Muszę dorobić kilka szafek, ale ogólny zarys już widać.

Meble kuchenne były jasne, wykonane z klonowego drewna, i kontrastowały z ciemnymi, granitowymi blatami.

- To niezwykle miejsce - przyznała. - Nie dziwię się, że nie lubisz spędzać czasu w Londynie.

- Napijesz się kawy? - zapytał, włączając czajnik.

- Herbaty, jeśli można. - Rozejrzała się dookoła. Pomieszczenie było ogromne. W zasadzie był to salon połączony z kuchnią i jadalnią. Podłoga z długich desek niosła wyraźnie dźwięk ich kroków.

- Muszę się przyznać, że podłoga nie jest do końca moim dziełem. Znalazłem ją w rozbieranym właśnie szpitalu w Aberdeenshire. Nowa nie pasowałaby tutaj. Szukanie staroci to bardzo czasochłonne zajęcie, ale to miejsce jest dziełem miłości, więc jestem gotów poczekać. Nic, czego nie darzę uczuciem, nie ma tutaj wstępu. Te kubki - wskazał na niebieską porcelanę - zostały zrobione przez Saskię Kemsley.

- Słyszałam o niej.

- Sprzedaje swoje prace u Harrodsa, ale pochodzi z tych okolic.

Jem nalał herbatę i podał Eloise kubek. Usiedli na jasnej sofie. Przez duże okno widać było w oddali zamglone światła.

Poza tym na dworze zrobiło się już zupełnie ciemno. I cicho. Ale ta cisza nie krępowała. Eloise czuła się dziwnie swobodna i spokojna.

Spojrzała na Jema. Oparł głowę o zagłówek sofy. Wyglądał na zmęczonego. Dzień był dla niego równie stresujący jak dla niej. Zauważyła drobne zmarszczki w kącikach jego oczu i kilka siwych włosów na skroniach. Otworzył oczy.

- Muszę już iść. - Odstawiła kubek na niski stolik i wstała.

- Dlaczego?

Nie miała żadnego sensownego wyjaśnienia. Nie było też nikogo, do kogo by się spieszyła.

- Jest już późno - odparła.

- Niespecjalnie. Nie mam tutaj za dużo jedzenia, mogę jednak przygotować jakiś omlet.

- Ale...

- Potem zawiozę cię do Arundel. Ja też będę wracał do domu.

- To ty nie mieszkasz tutaj? - zapytała zdziwiona.

- Jeszcze nie. Wciąż nie ma tu wielu rzeczy, przede wszystkim łóżek, a wyposażenie do łazienki przyjechało dopiero w zeszłym tygodniu.

Jem podszedł do lodówki.

- Omlety są jedyną pozycją w menu. Mogą być nawet z serem. Mam jeszcze - wskazał na białe wino w lodówce - butelkę chardonnay. Co ty na to?

Eloise spojrzała na zegarek. Było jeszcze dość wcześnie. Wieczór dopiero się zaczynał, a propozycja Jema wydawała się kusząca.

- Chętnie zostanę na kieliszek chardonnay.

- Grzeczna dziewczynka!

Patrzyła, jak przygotowywał posiłek.

- Od jak dawna mieszkasz w Londynie? - zapytał.

- Odkąd skończyłam studia. To już ponad sześć lat.

- Nie wróciłaś do domu?

- Nie mam domu, do którego mogłabym wrócić. Spojrzał na nią.

- Rozumiem. Ale to miło, że i ty, i Laurence studiowaliście w Cambridge.

- To musi być dla niego trudne do zaakceptowania. Nagle odnalazł córkę i zupełnie nic o niej nie wie.

Jem w dalszym ciągu zajmował się przygotowaniem omletów.

- Umiesz gotować?

- Nie. Nigdy nie gotuję.
- Dlaczego?
- Nigdy nie czułam takiej potrzeby.

Zmniejszył płomień pod patelnią i zajął się nalewaniem wina.

- Jeszcze nie zrobiłem krzesel, więc będziemy siedzieć tutaj, a talerze weźmiemy na kolana.

Eloise nigdy nie czuła się tak szczęśliwa jak tego wieczoru, choć gdy o tym pomyślała, wydało się jej to głupie. Czuła się spokojna i bezpieczna. Zupełnie jakby była w domu. Wzięła talerz i kieliszek od Jema. Zsunęła buty i rozsiadła się wygodnie na sofie. Jem dołączył do niej.

- Nie pijesz wina? - spytała, widząc, że przygotował dla siebie tylko wodę z lodem.

- Nie mogę. Będę wracał do domu samochodem.

- Nie powinieneś otwierać butelki wina tylko dla mnie.

- Dlaczego nie? - Postawił szklanę na podłodze. - Nie mogę się zdecydować, jakie krzesła będą tu pasowały. - Podeszedł do kuchennej szafki i wyjął z szuflady kartki z projektami. - Sama popatrz, ile mam pomysłów.

- Te mi się podobają - powiedziała po chwili, oglądając kolejne szkice. - Tamte mają zbyt gotycki charakter. Ale te podobają mi się najbardziej. Mają wysokie oparcia i intrygującą asymetrię.

- Trudno będzie osiągnąć te zakrzywienia - stwierdził, biorąc papier z jej rąk i przyglądając się rysunkowi.

- Skąd się bierze ta twoja pasja? - zapytała zaciekawiona.

Odłożył projekt na miejsce.

- Zacząłem krótko po przeprowadzce do Coldwaltham. Miałem pozwolenie na wykorzystanie resztek drewna, które zostały po rozbudowie Abbey. Dostałem też miejsce do pracy.

- Ale nie jesteś samoukiem?

- Nie odkryłaś tego, robiąc wywiad na mój temat?

Eloise niemal zapomniała o poszukiwaniach internetowych. Mogła w nich wyczytać ogólniki, czasem jakieś fakty, ale nigdy nie dowiedziałyby się prawdy o tym, jakim człowiekiem był naprawdę Jem.

- Wiem, że jesteś z wykształcenia projektantem.

- Brawo.

- Ale nie pamiętam, jaką uczelnię skończyłeś. Skrzywił się.

- Wybacz, ale nie byłeś głównym obiektem moich poszukiwań.

- Domyślam się - zaśmiał się. - Po skończeniu szkoły czułem się naprawdę dobrze przygotowany do pracy z drewnem. Jeśli nie trzeba utrzymywać się ze swojej pracy, jest na ogół dużo łatwiej. Nie musiałem robić nic innego, mogłem wyłącznie realizować swoje pasje.

- Brzmi wspaniale.

- Jestem szczęściarzem, bo znalazłem coś, co kocham robić. Ale wszystko mogło wyglądać zupełnie inaczej. Kiedy przyjechałem do Coldwaltham, miałem zupełnie inne plany.

- A co je zmieniło?

- Laurence.

Zapadła cisza. Eloise skończyła posiłek i odłożyła sztucce na talerz.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego początkowo żywiłem do ciebie urazę? - zapytał nieoczekiwanie Jem.

Skinęła głową.

- Ponieważ uświadomiłaś mi, że Laurence nie jest lepszy niż inni.

Dolał sobie wody.

- Napijesz się jeszcze wina? - zapytał. Przecząco pokręciła głową.

Zupełnie nie wiedział dlaczego, ale poczuł potrzebę, żeby się jej zwierzyć.

- Mój ojciec był zwykłym łajdakiem - dodał.

Dostrzegł, jak jej oczy powiększają się ze zdziwienia. Poczł satysfakcję, że udało mu się ją zaszokować. A jeszcze większą radość sprawił mu fakt, że wreszcie wyrzucił to z siebie. Przez całe lata ukrywał uczucia głęboko w sercu. Wydawało mu się, że nie powinien mówić źle o człowieku, który nie mógł się już bronić. Wolał więc odciąć się od przeszłości, zachowując się tak, jakby należała ona do kogoś innego, obcego.

Ale sława ojca nie umarła razem z nim.

- Zdrajcą, kłamcą i łajdakiem - powiedział wolno, cedząc każde słowo.

- Rupert Norland? - zapytała zaskoczona Eloise.

Jem nie powinien się dziwić jej zaskoczeniu. Cały świat postrzegał jego ojca jako człowieka sukcesu, czarującego i towarzyskiego. Kobiety go kochały, a mężczyźni podziwiali. Nikt nie wiedział, jak zmieniał się za drzwiami swojego domu.

Kiedy tylko świat zewnętrzny znikał, ulatniał się też cały czar i urok, a pozostawał wyłącznie brutalny tyran, który, jeśli uznał to za konieczne, pięściami dochodził swych racji.

Jem dorastał, widząc, jak matka chowała się w kącie, zasłaniając się przed razami, a potem starannie ukrywała siniaki na rękach i nogach. Zresztą ojciec zazwyczaj zadawał ciosy tak, żeby ślady nie były widoczne.

Jem patrzył, jak ten człowiek niszczy dumę i poczucie wartości matki. Wkrótce stała się wystraszoną i uległą kobietą. Jem doskonale znał uczucie beznadziei i bezsilności. Wiele wycierpiał.

- Nie wszystko jest takie, na jakie wygląda - powiedział cicho. - Kiedy Laurence zakochał się w mojej matce, był dla niej bardzo delikatny, szarmancki i cierpliwy. Podziwiałem go za to, chociaż mnie to przerażało.

- A jaki był dla ciebie? - zapytała drżącym głosem Eloise. Jem uśmiechnął się, odsuwając od siebie smutne wspomnienia.

- Cierpliwy jak anioł. To ja byłem buntownikiem, skorym do użycia pięści.

- Nigdy tego nie zrozumieć - powiedziała, marszcząc czoło. - Dlaczego dzieci łajdaków same tak łatwo przyjmują łajdackie postawy? To właśnie chciałeś powiedzieć, prawda? - zapytała niepewnie.

- To chyba wynika z faktu, że nie znają innych zachowań - odparł powoli, siadając na sofie. - Nie zastanawiają się nad tym. Po prostu według mnie reagują na gniew w jedyny znany sobie sposób.

- Tak właśnie było z tobą?

Skinął głową.

- Czy tak się zachowywałeś, zanim zamieszkałeś w Coldwaltham?

- Tak. Wtedy wywalili mnie ze szkoły. Wybiłem zęby jednemu z kolegów.

Cóż, w tej sytuacji nie mogli dłużej tolerować moich wybryków.

Eloise się poruszyła. Jej włosy mieniły się, odbijając światło. Wydawała mu się zupełnie nierzeczywista. Może właśnie dlatego postanowił jej tyle o sobie opowiedzieć...

- A co zrobił Laurence?

Co zrobił? Wszystko i nic zarazem, przemknęło przez głowę Jema.

- On po prostu słuchał. Dał mi odczuć, że mnie lubi i że mu na mnie zależy.

Eloise się uśmiechnęła.

- Moja matka zrobiła dokładnie tak samo ze mną. Mogłam jej o wszystkim opowiedzieć...

Nagle posmutniała.

- I dlatego tak trudno ci pogodzić się z tym, że nie powiedziała ci o Laurensie?

Eloise odchyliła głowę, nie mówiąc ani słowa.

- Nikt nie jest ideałem. Ani Laurence, ani twoja mama.

- Wiem o tym. Ja tylko chciałam...

Powietrze między nimi zadrżało. Jem czuł, że coś go do niej ciągnie. Siedzieli blisko siebie, ale ta bliskość była całkiem naturalna. Pogładził jej włosy. Były miękkie i puszyste.

Czuł pod palcami jej skórę. Przyciągnął ją bliżej. Nie opierała się. Zupełnie jak w jego marzeniach.

Zbliżała się do niego w sposób tak naturalny, jakby nie było na świecie innego miejsca, w którym powinna się teraz znajdować. Jej ciało przylgnęło do jego ciała. Usta miała rozchylone i kuszące. Krew popłynęła żywiej w jego żyłach. Zapomniał, jak niedorzeczne jest to, co teraz robi.

Ich usta zbliżyły się do siebie. Jej dłonie oplotły jego szyję i gładziły włosy. Słyszał ciche pomruki rozkoszy.

Nie liczyło się nic poza wzajemnym pożądaniem.

A może miłością?

Całe życie unikał tego uczucia. Zawsze najważniejsze było dla niego zachowanie kontroli nad sytuacją i emocjami. Nigdy dotąd nie zaufał drugiej osobie. Zbyt wiele przeszedł i wycierpiał.

Ale z Eloise było inaczej. Paraliżujący strach zniknął, pozostawiając miejsce pragnieniu.

- Eloise - jęknął.

Poczuł, jak jej dłonie, gładzące dotąd jego szyję, teraz desperacko zaczynają go odpychać.

- To nie jest... to nie... nie jest dobry pomysł. Nie mogę tego zrobić. Wybacz.

Odwróciła się. Włosy miała w nieładzie, a usta czerwone od jego pocałunków. Jem czuł, że świat usuwa mu się spod stóp.

- Dlaczego? - zapytał.

- Nie powinnam... nie powinniśmy. - W jej oczach zbierały się łzy. W popłochu zaczęła szukać butów. - Lepiej zadzwonię po taksówkę.

- Odwiozę cię.

- Nie mogę.

Przytrzymał ją za ramiona, zmuszając, żeby spojrzała mu w oczy.

- Nie potrafię zrozumieć, dlaczego nie możemy tego zrobić, ale szanuję twoją decyzję - powiedział, choć czuł, że każde wypowiedziane słowo rani go dotkliwie. - Odwiozę cię do Arundel.

- Dziękuję - odparła, opadając ponownie na sofę. - To po prostu nie jest dobry pomysł. Zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę Laurence'a i Belinę.

Jem patrzył, jak Eloise wstaje i wkłada swój kremowy płaszcz. On także podniósł się powoli, włożył marynarkę i przetrząsnął kieszenie w poszukiwaniu kluczyków do samochodu.

Jej usta drżały, kiedy próbowała się uśmiechnąć.

- Możemy już iść? - zapytała.

Skinął głową. Nie był w stanie wydusić ani słowa.

Zamknął dokładnie drzwi i ruszył za Eloise w ciemną noc. To byłaby świetna okazja, żeby ją objąć i pocałować.

Jednak nie zrobił tego. Szli w stronę samochodu w całkowitym milczeniu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Eloise zakończyła pracę nad najnowszym numerem magazynu „Image”. Czowała się bardzo chora. Głowa jej pękała, katar zatykał nos.

Jej samopoczucie nie poprawiało nawet to, że Jem dostał prestiżową nagrodę za swój innowacyjny projekt i jego zdjęcia pojawiały się wszędzie. Także na okładce „Image”. Przypomniła sobie uczucie, jakie towarzyszyło jej, kiedy byli razem. Kiedy się całowali... Nie mogła się uwolnić od tych myśli. A tak bardzo chciała o nim zapomnieć.

Popełniła wielki błąd. Nie powinna do tego dopuścić. Nieważne, które z nich przekroczyło niewidzialną granicę, fakt pozostawał faktem - całowali się.

Odtąd nic już nie będzie tak jak dawniej. Zawsze będzie pamiętała, jak cudownie czuła się w jego ramionach, kiedy szeptał czule jej imię.

Wzięła zapas chusteczek i zwinęła się na sofie. Laurence miał rację. Wiele pozornie drobnych, mało znaczących decyzji sprawiło, że przeżyła wieczór swego życia.

Mogła przecież nie przyjąć zaproszenia na przyjęcie urodzinowe ojca. Mogła też wyjść zaraz po kawie, a nie spacerować z Jemem po ogrodzie. Mogła odrzucić propozycję podwiezienia do Arundel. Mogła nie wchodzić do domu Jema i nie pozwolić, by przygotowywał dla niej omlet i częstował winem.

To były bardzo błahе decyzje, ale wszystkie prowadziły do tego, co nastąpiło potem.

Laurence powiedział, że w jego życiu wszystko się zmieniło, odkąd pocałował jej matkę. Ale mama podjęła decyzję, żeby od niego odejść, i to była słuszna decyzja. Jedyna, jaką mogła podjąć.

Eloise znacznie lepiej niż matka wiedziała, jak funkcjonuje świat Jema i Laurence'a. To był zamknięty krąg, do którego dostępu strzegły pochodzenie i znajomości. W taki sposób powstawały dynastie.

Ludzie z tego świata nie żenili się z dziewczynami z przedmieść Birmingham. Mogli z nimi spać, wykorzystywać je, ale nic ponadto.

A ona nie chciała być potraktowana w ten sposób. Gdyby zamierzała zostać maskotką jakiegoś bogacza, mogła to zrobić już wiele razy. Ale nie chciała.

Jem Norland był przystojnym i bardzo seksownym mężczyzną. Wyjątkowo seksownym. Bardzo jej się podobał. Ale to, co mógł jej zaproponować, już mniej. Nie wolno jej było zakochać się w nim. Tak więc było tylko jedno rozwiązanie. Odejść.

Nie miała innego wyjścia. Nie chciała, żeby jej życie stało się podobne do życia matki. Debrze pamiętała, jak ono wyglądało. Nie o takiej przyszłości marzyła.

Jem nie był dla niej odpowiednim facetem. Nie należała do jego świata. To, co musiała teraz zrobić, to przestać o nim myśleć.

Powoli podniosła się z sofy. Czuła współczucie dla samej siebie. Nos miała czerwony, a oczy spuchnięte od płaczu. W rękę nadal trzymała chusteczki.

Nagle zadzwieczał dzwonek domofonu.

- Eloise? - usłyszała w słuchawce niski głos Jema. Zamarła. Oparła się o drzwi i zamknęła oczy.

O nie, tylko nie to, pomyślała. Czego on chce i co tutaj robi?

- Odejdź. Jestem chora - powiedziała nerwowo do słuchawki.

- Laurence mnie przysłał.

Oparła czoło o framugę. A więc to Laurence go przysłał. Oczywiście. Odwiedził ją na prośbę ojczyma. Ależ była głupia i naiwna.

Cholera jasna.

- Źle się czuję - próbowała się go pozbyć.

- Przyniosłem ci prezent urodzinowy od niego. - Nastąpiła pauza, a po chwili Jem poprosił: - Eloise, proszę, otwórz drzwi. Pada deszcz.

Nacisnęła przycisk i wpuściła go do środka. Rozejrzała się po pokoju i wpadła w popłoch. Sterty papierów matki leżały na podłodze w takim nieładzie, że trudno było między nimi przejść. W wielu miejscach stały puste kubki po kawie, a na sofie leżał zwinięty stary koc. Obok sofy piętrzyła się góra zużytych chusteczek do nosa. Eloise zobaczyła w lustrze swoje odbicie i ten widok przeraził ją jeszcze bardziej. Nie było czasu na jakiegokolwiek zabiegi.

Rozległo się pukanie. Eloise zawiązała mocniej pasek szlafroka i podeszła do drzwi.

Uchyliła je na kilka centymetrów.

- Jestem chora. Odejdź.

Jem miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy z podniesionym kołnierzem.

- Czy to jest zaraźliwe?

- Tak.

- Więc nie chuchaj na mnie - powiedział i popchnął drzwi. - Pospiesz się.

Wpuść mnie do środka. Nie mam zamiaru przeciskać prezentu od Laurence'a przez dziurkę od klucza.

Eloise cofnęła się i pozwoliła mu wejść.

- Wyglądasz okropnie - stwierdził.

- Uwierz mi, że czuję się jeszcze gorzej. - Opadła na sofę i przyłożyła chusteczkę do nosa.

- Kto się tobą opiekuje?

- Sama potrafię o siebie zadbać. Jestem dużą dziewczynką. - Pociągnęła nosem.

- Musisz dużo pić.

Tak bardzo ucieszył ją jego widok. Wyglądał dużo lepiej niż na zdjęciu w „Image”. Nie minęło zbyt wiele czasu od ich ostatniego spotkania, ale niemal zapomniała, jaki jest wysoki, jak intensywnie niebieskie są jego oczy...

Ich ostatnie spotkanie zakończyło się pocałunkiem. Palcami przeczesywała jego czarne włosy, ich ciała ocierały się o siebie.

Teraz patrzyła, jak zdejmował płaszcz i przewieszał go przez oparcie krzesła. Nie zachowywał się jak zmanierowany bogacz, ale może bogactwo było dla niego czymś oczywistym. Wydawało się jednak, że czuje się w jej mieszkaniu równie swobodnie jak w największym salonie Coldwaltham Abbey.

Pochylił się nad nią i przyłożył chłodną dłoń do jej czoła.

- Mierzyłaś temperaturę?

- Jestem tylko przeziębiona. To nic poważnego. - Otuliła się dokładniej szlafrokiem. - Ale jeśli masz ochotę czegoś się napić, będziesz musiał sam sobie zrobić.

- Nie ma sprawy - odpowiedział swobodnie, rozglądając się za kuchnią.

- Żartowałam! - Poderwała się, przypominając sobie, w jakim stanie zostawiła kuchnię. - Już wstawiam wodę. Czego się napijesz?

- Chętnie kawy. Jeśli to nie kłopot.

- Nie. I tak miałam sobie zrobić gorącą herbatę z cytryną. Ale uprzedzam, mam tylko kawę rozpuszczalną. Będzie musiała ci wystarczyć.

Jem stał w drzwiach i patrzył, jak nasypywała kawę do kubka.

- Idź do pokoju. Ja przygotuję resztę.

Spojrzała na niego, zastanawiając się, czy jej protest na coś się zda, ale poddała się.

- Jestem zbyt chora, żeby się z tobą kłócić.

Gdyby choć trochę pomyślała, mogłaby się domyślić, że Jem będzie w tym tygodniu w Londynie w związku z odbiorem nagrody.

Słyszała, jak krząta się w kuchni.

Ponownie ułożyła się na sofie i zamknęła oczy. Nie miała siły, żeby walczyć.

- Uważaj, bo herbata jest gorąca - ostrzegł ją, stawiając tacę na stoliku.

Podniosła się i otoczyła dłońmi ciepły kubek.

- Gratulacje z powodu nagrody.

- Dziękuję.

Poczuła na sobie jego wzrok. Miała wrażenie, jakby jej dotykał. Jej serce zadrżało. Znow był blisko niej. Prawdziwy. Z krwi i kości. Nie tylko wytwór jej wyobraźni.

- Dlaczego nie odbierałaś moich telefonów?

Zawahała się. A jak mu się wydaje? Wszystko, co było z nim związane, przerażało ją. Miłość, strata, odrzucenie - te uczucia napawały ją lękiem i powodowały ból. Bez nich wiedziała przynajmniej, na czym stoi. Mogła radzić sobie sama.

- Byłam bardzo zajęta.

- Ale na rozmowę z Laurence'em znalazłaś czas. - Jem sięgnął po kubek z kawą. - I z Belindą także.

- Zadzwoiła do mnie. Przyjechała do Londynu, więc poszliśmy na lunch.

- I jak było?

- A co ci powiedziała?

- Zapisła się na terapię. - Uśmiechnął się.

- Naprawdę? - W oczach Eloise, po raz pierwszy tego dnia, pojawiły się iskiereki radości. - To wspaniale. Bardzo się cieszę.

Cały czas się zastanawiała, czy Belinda zrobi to, do czego ją tak usilnie namawiała. Sama była zaskoczona, ale polubiła tę kobietę. Swoją siostrę przyrodnią. Czy kiedyś to uczucie przestanie ją dziwić?

- Laurence jest w siódmym niebie.

Uśmiechnęła się. Zapomniała na chwilę o wszystkich smutkach i cieszyła się radosną nowiną.

- Miałam nadzieję, że to zrobi.

- Jak ci minął czas od naszego spotkania? - zapytał miękko. Jej uśmiech przygasł.

- Doskonale. - Zaciśnęła palce na pasku szlafroka. - Pomijając to przeziębienie, oczywiście.

Jeremy patrzył na ruchy jej dłoni. Już prawie zapomniał, jaka jest czarująca. Wydawało mu się, że nikt nie może wyglądać bardziej ponętnie niż Eloise, taka, jaką zapamiętał z ich ostatniego spotkania. Ale mylił się. Teraz wyglądała jeszcze piękniej.

Ta myśl poważnie go wystraszyła. Przez całe swoje dorosłe życie unikał bliskości. Laurence zrobił naprawdę wiele, żeby naprawić to, co zniszczono w nim w dzieciństwie, ale nie był w stanie uwolnić go od paraliżującego lęku przed zdradą.

Eloise wyprostowała się i wysunęła przed siebie zgrabne, długie nogi. Jem odwrócił wzrok. Już się nie zastanawiał, dlaczego Laurence zakochał się w Nessie. To musiało być silniejsze niż śpiew syren. Za każdym razem kiedy był z Eloise, czuł podobną pokusę.

Przyszedł tu jedynie z prezentem od Laurence'a. I od siebie. A potem zamierzał wyjść. Miało to trwać najwyżej kilka minut. Nie planował zostać na kawę.

Ale ona potrzebuje teraz pomocy, pomyślał. Tak będzie lepiej. Nawet Laurence nie umiał pozostać wierny ideałom, w które wierzył. Skusiło go coś silniejszego od jego moralnych zasad.

Dlaczego z nim miałoby być inaczej?

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin - powiedział, wręczając jej paczkę. - Laurence powiedział, że jeśli nie będziesz mogła przyjechać do Sussex, ja obejmę rolę posłańca i przekażę ci prezent.

Eloise odstawiła kubek na stolik.

- To dla mnie? Prezent dla mnie?

Patrzył na nią z zachwytem. Na jej twarzy niedowierzenie mieszało się z radością. Czyżby była naprawdę tak samotna, że do tego stopnia zaskoczył ją prezent urodzinowy?

- Co to jest?

- Otwórz i zobacz.

Rozerwała taśmę i błyszczący srebrny papier.

- Mówisz po francusku? - zapytał, widząc tytuł książki.

- Nie za dobrze. W każdym razie nie na tyle dobrze, żeby sobie z tym poradzić. - Przeczesała włosy palcami.

Ukucnął przed nią, żeby patrzeć jej w oczy.

- To jest historia o Heloizie i Abelardzie - powiedział z doskonałym francuskim akcentem. - Prawdziwa historia, a oni byli prawdziwymi ludźmi.

Eloise gładziła okładkę książki jak najcenniejszy skarb. Na twarzy miała wyraz takiej czułości, jakiej nigdy jeszcze nie widział. Po raz pierwszy zrozumiał, ile to dla niej znaczy.

Chodziło o rodzinę. O akceptację i przynależność. Nikt nie wiedział lepiej niż on, jak uzdrawiającą moc może mieć prawdziwa rodzina. Eloise bardzo jej potrzebowała.

- Kim ona była?

- Heloiza była osiemnastoletnią siostrzenicą pewnego wpływowego duchownego. Żyła pod jego opieką w jedenastowiecznym Paryżu.

- A Abelard?

- Abelard był jej przewodnikiem i nauczycielem filozofii. Dużo starszym od niej. Według tej książki miał około czterdziestu lat, kiedy zaczął się ich romans.

- Moja mama nadała mi takie imię, by się zemścić?

- Nie sadzę, żeby Laurence tak na to patrzył. Dla niego jesteś pamiątką szczęśliwych i pięknych chwil.

Czy naprawdę taka była intencja matki? Czy chciała, żeby Eloise poznała kiedyś swojego ojca? To piękna teoria, ale Eloise nie mogła do końca w nią uwierzyć. Jej matka nie wiedziała przecież, że umrze tak szybko. A Laurence był... o wiele starszy. Należało się raczej spodziewać, że będzie żyła dłużej niż on.

Eloise знаła też ulubiony wiersz ojca - czytała go wiele razy po swojej pierwszej wizycie w Sussex. Eloise z wiersza Pope'a żyła w ciągłym żalu i tęsknocie za mężczyzną, z którym ją rozdzielono. Czy takie właśnie uczucia towarzyszyły jej matce?

Było za późno, żeby się dowiedzieć, co naprawdę czuła. Tyle pytań pozostawało bez odpowiedzi.

Eloise poczuła narastający ból. Żal za tym, co stracone, wypełniał ją coraz bardziej. Nie była w stanie powstrzymać łez.

Nie wiedziała, jak to się stało, że Jem usiadł blisko niej. Pamiętała tylko chwilę, kiedy otoczył ją ramionami i przytulił do swego silnego ciała. Wtuliła się w niego bezbrinnie, jakby był jej jedyną ostoją.

Gładził jej włosy, delikatnie i rytmicznie, a ona trwała w bezruchu. I nagle poczuła się bezpieczna i spokojna.

Wiedziała, że Jem wyczuł, kiedy przestała płakać. Trzymał dłoń na jej włosach. Poruszył się lekko, ale tylko po to, żeby ułożyć ją wygodniej w swoich ramionach.

Wewnętrzny głos ostrzegł ją, że powinna teraz wstać i odsunąć się. Jednak nie zrobiła tego. Cieszyła się ich wzajemną bliskością.

- Lepiej się czujesz? - zapytał.

Zapomniała niemal o przeziębieniu. Zapomniała o wszystkim, wsłuchana w bicie jego serca.

- Przepraszam... - zaczęła, ale natychmiast jej przerwał.

- Nie musisz mnie przeproszać.

Wiedziała dokładnie, co miał na myśli. Ich znajomość zaszła już na tyle daleko, że nie musieli się co chwila przeproszać.

Jem od początku sprawiał, że czuła się bezpieczna. I kochana.

Kochana - wreszcie dotarło do niej znaczenie tego słowa.

Jak to się mogło stać? Czy było już za późno? Każdy krok, który zrobiła w poszukiwaniu ojca, tak naprawdę zbliżał ją też do Jema.

Kochała go.

Leżała koło niego, bojąc się poruszyć. Tak długo, jak pozostanie bez ruchu, jego ramiona będą ją oplatać. Niech ta cudowna chwila trwa jak najdłużej.

A potem Jem wyjdzie, a ona znów zostanie sama. Tak, bo ona nie należy do jego świata i nigdy do niego nie wejdzie. Nie mogłaby zaryzykować odrzucenia.

- Nie dałem ci jeszcze mojego prezentu - powiedział miękko.

- Masz dla mnie prezent?

Odsunął się delikatnie, wstał i podszedł do swojego płaszcza.

- W zasadzie nie zamierzałem... ale kiedy to zobaczyłem, pomyślałem o tobie.

- W rękę trzymał niewielką paczuszkę.

Usiadła i spojrzała na niego uważnie. Miała wrażenie, że Jem zna jej myśli.

- Zrobił to jeden z moich przyjaciół.

Eloise podniosła wieczko i spojrzała na platynową bransoletkę przypominającą splecione liście winorośli.

- Nie mogę tego przyjąć... - Jej kolana zrobiły się jak z waty.

Bransoletka była zachwycająco piękna i bardzo kosztowna. Ten rodzaj biżuterii Eloise widywała czasem na wystawach ekskluzywnych sklepów jubilerskich.

- Załóż ją, proszę. To drobiazg.

Drobiazg wart tysiące, pomyślała. Pozwoliła jednak, żeby założył jej bransoletkę.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

Od nikogo nie dostała nigdy nic równie pięknego. Nikt nigdy nie zrobił jej takiej niespodzianki. Eloise przyjrzała się ozdobie. Śliczna i... podkreślająca dzielącą ich przepaść. Czy podobnie czuła się jej matka?

Jem ponownie ją przytulił. Nie opierała się. Chciała przy nim pozostać.

Słońce już zaszło i otoczył ich półmrok. Nie ruszali się. Eloise przyglądała się cieniom kładącym się na ścianach. Na policzku czuła dotyk kaszmirowego swetra. Słyszała oddech Jema. W powietrzu unosił się zapach jego kosmetyków. Bała się poruszyć, by magiczny sen nie skończył się nagle.

Jak to możliwe, żeby czuła się tak wspaniale, jeśli postępowała niewłaściwie? Czy tak było z matką? Czy to dlatego nie myślała o chorej i umierającej żonie Laurence'a i o jego przestraszonej i samotnej córce, Belindzie? Czy dlatego wdała się z nim w romans?

Co czuje Jem? Nie odzywał się, tylko trzymał ją w ramionach, przytulał i dawał ukojenie. A może to tylko współczucie?

Naraz jego głos przerwał ciszę:

- Lepiej się czujesz?

- Tak, dużo lepiej.

Prawdopodobnie już zawsze będzie czuła się lepiej, kiedy on znajdzie się blisko.

- Chyba powinnaś się trochę przespać.

- Pewnie masz rację.

Delikatnie pocałował ją w czoło. Może myślał, że tego nie poczuje.

- Lepiej już pójdę - powiedział, lecz jego głos zdradzał, że nie uważał tego za najlepszy pomysł.

Eloise czuła, że gdyby go poprosiła, zostałby z nią. Ale co by się wtedy stało?

Usiadła i otuliła nogi kocem.

- Kręci mi się w głowie. Pójdę do łóżka.

- To nie najlepszy sposób spędzania urodzin. - Jem wstał i wziął płaszcz. -
Poradzisz sobie?

- Oczywiście. I dziękuję za prezent - dodała, patrząc na bransoletkę. - Jest
piękna.

- Bardzo proszę.

- Podziękuj ode mnie Laurence'owi, kiedy będziecie rozmawiać. Zadzwoń
do niego, ale... - Ich spojrzenia się spotkały.

- Może umówimy się kiedyś na lunch?

- Może kiedyś - odpowiedziała, akcentując ostatnie słowo.

- Jutro muszę lecieć do Mediolanu, ale potem... A może umówimy się na
kolację?

- Toby było... wspaniale.

Chyba że nigdy do tego nie dojdzie, dodała w myślach. Przecież bajka o
Kopciuszku nie mogła zdarzyć się naprawdę. Nie mogła...

A jeśli on także mnie kocha?

To niemożliwe, odpowiedziała sama na swoje pytanie. Zawsze byłaby tylko
nieprawą córką jego ojczyma. Nigdy wystarczająco dobrą, by zostać jego żoną.

Jem uśmiechnął się i odgarnął włosy z jej twarzy.

- Wyglądasz dużo lepiej. Wyśpij się teraz. Skinęła głową.

- Zadbam o siebie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wpadające przez rozchylone zasłony promienie słońca obudziły Eloise. Musiała się uszczyplnąć, żeby uwierzyć, że to wszystko nie było snem. Rozejrzała się po pokoju. Książka podarowana przez ojca wciąż leżała na szafce, a bransoletka od Jema opinała przegub.

Eloise spojrzała na zegarek. Spała bite dwanaście godzin. Nie mogła w to uwierzyć. Po raz pierwszy od kilku dni nie bolało ją ani gardło, ani głowa. Nie był to jeszcze stan idealny, ale czuła się o niebo lepiej niż ostatnio.

Wstała i poszła do kuchni. Wzgardziła płatkami i usiadła przy ciepłych tostach i kawie.

Przypomniała sobie, że Jem miał lecieć do Mediolanu. Może nawet już poleciał. A ona zgodziła się pójść z nim na lunch. A może na kolację? - zastanawiała się. Wszystko jej się mieszało. Pewna była tylko tego, że wciąż nie wie, czego od niego oczekuje i jak to się skończy.

Czuła się niemal uzależniona od tego mężczyzny. Wypełniał wszystkie jej myśli. Zdawała sobie jednak sprawę, że sielanka nie może trwać wiecznie. Już Laurence i Vanessa to odkryli. Nic nie trwa wiecznie. Czy zatem warto zaczynać coś, co nie ma przyszłości? - pytała się w myślach.

A najsmutniejsze było to, że doskonale zdawała sobie sprawę, że jej mądrość i umiejętność przewidywania nic tu nie pomogą. I tak zostanie skrzywdzona. Podświadomie, czasem wbrew własnej woli, pozwalała, by Jem wypełniał jej świat, ale czuła, że pewnego dnia będzie żałowała, że nie uciekła, kiedy był jeszcze czas.

Nie chciała się zakochać. Choć przy Jemie wielu rzeczy nie chciała, a nie na wszystko miała wpływ. Teraz jednak lepiej wiedziała, co przeżywała jej matka. To było jak przeznaczenie. Nic nie mogła na to poradzić.

Wróciła do sypialni, usiadła na łóżku i zaczęła przeglądać rzeczy mamy. Miała zamiar pozbyć się niektórych z nich, ale nie przychodziło jej to łatwo. Segregując dokumenty, trafiła na kilka paczek listów. Jedna z nich szczególnie ją zaintrygowała. Nie rozpoznała pisma na kopertach, więc otworzyła pierwszą z brzegu. Najwyraźniej listy pisane były w czasie, kiedy mama pracowała w Coldwaltham. Adresatem była niejaka Janice.

Eloise nie miała pojęcia, kim była Janice. Zapewne jakąś dobrą przyjaciółką, bo listy zawierały mnóstwo plotek i szczegółowych opisów z życia obu kobiet. W żadnym jednak nie pojawiła się najmniejsza nawet wzmianka o Laurensie. Najwyraźniej mama chciała zachować swój sekret tylko dla siebie.

Choć spora część listów traktowała o nowych sukienkach, prywatkach czy szczegółach wyjść Janice z jej chłopakiem Stevem, to Eloise czytała je wszystkie z zainteresowaniem. Były trochę jak cudzy pamiętnik. Z jednej strony człowiek zdaje sobie sprawę, że nie powinien czytać, ale z drugiej - nie może się powstrzymać.

Kolejny list był zaadresowany do Birmingham. A więc pochodzi z okresu, kiedy mama wiedziała już, że jest w ciąży, pomyślała Eloise. Nagle poblądła. Jej wzrok zatrzymał się na ostatnim zdaniu. Poczuli się tak, jakby świat wywrócił się do góry nogami. Przeczytała te słowa kilka razy.

„Musisz wiedzieć, kto jest ojcem twojego dziecka”.

Nerwowo otworzyła kolejną kopertę.

Przeleciała wzrokiem zapiski Janice. Przyjaciółka matki próbowała odtworzyć, kiedy i z kim się spotykały. Naraz Eloise trafiła na nazwisko jakiegoś marynarza, Patricka McMahona.

O Boże, proszę, nie, pomyślała przerażona. Zrobiło się jej słabo.

Mama opuściła Coldwaltham Abbey dwiętnastego, a dwudziestego pierwszego spotkała Patricka. Czy to możliwe? - pytała się w duchu. Czy to możliwe, że mama miała dwóch kochanków w jednym czasie i sama nie wiedziała, kto jest ojcem dziecka?

Może właśnie dlatego nigdy nie próbowała skontaktować się z Laurence'em, nawet po śmierci jego żony.

Eloise złapała się za głowę. Myślała, że oszaleje od nadmiaru emocji. Czuła się samotna, bardzo samotna i kompletnie zagubiona. Tak bardzo chciała wiedzieć, kto jest jej ojcem, kim jest ona sama. Ojciec podobno był „dobrym człowiekiem”, tak mówiła matka. Ale to już Eloise nie wystarczało. Chciała wiedzieć więcej.

Pomyślała o Laurensie. Zdążyła go pokochać jak ojca. Och, żeby to był on. Chciała mieć przyrodniego brata i siostrę. Pragnęła mieć rodzinę. I przerażała ją myśl, że może to wszystko stracić.

Kiedy minął pierwszy szok, poczuła ból. Fizyczny ból w całym ciele. Miała serdecznie dość. Łzy popłynęły jej z oczu.

Postanowiła, że musi powiedzieć o wszystkim Laurence'owi. Miała do tego prawo.

Ciekawe, czy wiedział coś o Patricku McMahonie? - pomyślała i od razu sama sobie odpowiedziała, że to raczej niemożliwe. Mama poznała marynarza już po zakończeniu romansu z Laurence'em. Ale czy mogła być aż tak bardzo zrozpaczona, by kość smutek w łóżku z przypadkowo spotkanym facetem?

Nagle Eloise zerwała się na równe nogi. Nie powinna zwlekać ani chwili. Wrzuciła listy do torby. Postanowiła natychmiast pojechać do Sussex i porozmawiać z wicehrabią Pulborough w cztery oczy.

Wyglądała doskonale. Nowa fryzura, dyskretny makijaż i elegancki kostium świetnie maskowały jej stan psychiczny.

- „Gulliver” dostarczył diadem na ślub Lilly Bamber z tą gwiazdką rocka. Jak on się nazywa? - spytała Cassie.

- Garth Ryman.

- O właśnie! - ucieszyła się Cassie. - Nie cierpię jego muzyki. No, ale każdy kamień w diademie był nieskazitelny. Musiał kosztować fortunę. Idealny temat dla kolorowych magazynów.

Cassie zgasila papierosa i obie weszly z powrotem do biura.

Idac za szefowa, Eloise pomyslała, ze Cassie ma racje. Dzis kazdy, kto byl kimś w tym biznesie, gnal prosto do „Gullivera” po zdjecia i plotki.

Wciaz ci sami ludzie, te same miejsca, pomyslała zde gustowana.

Z malymi wyjatkami. W zeszlym miesiacu uczestniczyła w otwarciu duzego domu mody. Wszystko odbywalo sie zgodnie ze standardowym scenariuszem, kiedy nagle zobaczyła Jema.

Natychmiast uswiadomila sobie, jak bardzo za nim tesknila. Jakby kierowani reką przeznaczenia, odnalezi sie wzrokiem. Poczula, jak wypełnia ją radość. Świat natychmiast nabral zywszych barw.

Jem wygladal wspaniale. Mial klase i styl. I chociaz twierdzil, ze nie przepada za takimi uroczystosciami, juz na pierwszy rzut oka bylo widać, ze odnajduje sie w tym swiecie bez najmniejszego wysilku. To byl jego swiat.

Eloise zerknęła na swoje eleganckie, ale pozyczone spodnie, pomyslała o brylantowych kolczykach, które bedzie musiala oddac, kiedy stąd wyjdzie. Ona, w przeciwienstwie do Jema, byla tu obca. Musiala sie z tym pogodzic.

- Cześć - przywital sie.

- Cześć - odparła automatycznie.

Jej serce bylo jak oszalale. Tak wiele chciala mu powiedziec. O odnalezionych listach. O Laurensie. O nieudanych probach zdobycia informacji na temat Patricka McMahona. Ale slowa wiezly jej w gardle. Stala jak zahipnotyzowana i wpatrywala sie w jego błękitne oczy.

Nachylil sie i pocałowal ją w policzek. Wszyscy tutaj witali sie podobnie, ale dla niej nie byl to zwykly pocałunek. Gdy dotknal wargami jej skóry, cała zadrzala.

Zrozumiala, ze go kocha.

I ze nic nie jest w stanie tego zmienic.

- Musze z tobą porozmawiac - powiedzial.

- Wiem.

Kątem oka dostrzegła Belindę. Mimowolnie odwróciła głowę w stronę kobiety, która być może wcale nie była jej przyrodnią siostrą. Ale może Laurence miał rację, kiedy zapewniał mnie, że w gruncie rzeczy nie ma to żadnego znaczenia? - pomyślała. I że już zawsze będzie ich wszystkich łączyło coś wyjątkowego.

Belinda wyglądała świetnie. Nowa fryzura i atrakcyjne ciuchy sprawiły, że prezentowała się dużo korzystniej niż wtedy, gdy się poznały.

- Wyglądasz cudownie - zachwycił się szczerze Jem na widok siostry.

Belinda podeszła do Eloise i uniosła jej rękę.

- Miałam pomoc. Ta dziewczyna jest prawdziwym geniuszem, mówię ci.

Eloise nic nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się tylko łagodnie.

- A jak w klinice? - spytał Jem.

Belinda zerknęła na Eloise. Na jej twarzy również zagościł uśmiech. Biły od niej siła i pewność siebie.

- Powoli do przodu. W tej chwili jestem dochodzącym pacjentem.

- A Piers?

Belinda na moment spochmurniała.

- Jest z Corinne. W sumie stało się to, czego należało się spodziewać już wcześniej. - Pomachała komuś na drugim końcu sali. - Przepraszam was teraz, idę się przywitać ze znajomą.

- Nie mogłem uwierzyć, kiedy Laurence mi o tym powiedział - Jem zwrócił się do Eloise, podążając wzrokiem za siostrą.

Po chwili spojrzął ponownie na Eloise.

Zamarła. Tak wiele zależało od tego, co chciał jej powiedzieć. Czy będzie ją obwiniał o to, że nie przejrzała dokładnie wszystkich listów mamy, nim rozpętała burzę? Sama czuła się z tym źle, ale z drugiej strony nie żałowała efektu końcowego.

Niemniej jednak musiała przyznać, że narobiła sporo zamieszania i sprawiła wiele bólu niewinnym ludziom.

Cassie, kiedy Eloise wreszcie zdecydowała się jej zwierzyć, poradziła jej wstrzymać się z osądami. Przecież Laurence i Vanessa byli kochankami. Mieli romans, którego owocem mogła być właśnie Eloise.

- Ty jesteś Eloise Lawton.

Nagle Eloise usłyszała ni to pytanie, ni stwierdzenie. Odwróciła się i zobaczyła Sopię Westbrooke.

- Tak, to ja.

- Tak myślałam - przyznała nastolatka. - Bardzo lubię twoją kolumnę w „Image” - powiedziała, wieszając się niemal na ramieniu Jema. - Zachodziłam w głowę, gdzie uciekłeś kochanie - zwróciła się do niego matowym głosem.

Wisiała na nim w taki sposób, że Eloise czuła się, jakby ktoś wbijał jej sztylet w serce. Bolało ją, kiedy uświadamiała sobie, że Sophia Westbrooke jest idealną partią dla Jema Norlanda. Młoda, piękna, czarująca i całkowicie oddana. Czegóż więcej mógłby chcieć?

Eloise wiedziała, że ona do tego układu zdecydowanie nie pasuje. Tylko w bajce mogłoby się wydarzyć, że pasierb wicehrabiego Pulborough pokochałby prostą dziewczynę.

- Kupuję regularnie „Image” - odezwała się ponownie Sophia.

Eloise skarciła się w myślach za prywatne przemyślenia podczas pracy. Wyprostowała się i pozwoliła, by jej umysłem znowu pokierowała ambitna dziennikarka magazynu o modzie. Przypomniała sobie, że ojciec Sophii był jednym z głównych akcjonariuszy Westbrooke & Dyer. Niemal słyszała, jak Cassie szepcze: „Warcie są fortunę, skarbie. Westbrookowie znają wszystkich. Traktuj ich odpowiednio”.

Eloise uśmiechnęła się do Sophii i Jema.

- Pokręcę się trochę, a wam życzę udanego wieczoru. Dotarła już prawie do drzwi, kiedy dogonił ją Jem.

- A ty gdzie idziesz?

- Wychodzę.

- Dlaczego?

Spojrzała na niego. Przez chwilę nic nie mówiła. Pomyślała, że on nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, co dzieje się w jej głowie i sercu. Mógłby ją pocałować, ale dla niego nic by to nie znaczyło.

- Wracaj do Sophii - powiedziała wreszcie.

- Hej! - Złapał ją za ramię. - Sophia jest dziewczyną mojego przyjaciela, lorda Andrew Harlingtona. - Uśmiechnął się, widząc wyraz jej twarzy. - A ty myślałaś, że ja i ona...

- Być może - odparła chłodno.

- No więc, myliłaś się. Poza tym, jeśli pamiętasz, pocałowałem cię.

- Mężczyźni czasem tak robią, szczególnie ci wywodzący się z wyższych sfer lubią wykorzystywać pozycję...

- Słucham? - Jem zrobił wielkie oczy. - To chyba największa bzdura, jaką kiedykolwiek słyszałem.

Eloise spuściła wzrok i poczuła, jak się czerwieni. Dotknął jej twarzy.

- Proponuję, żebyś się tu trochę pokręciła, tak jak planowałaś - powiedział łagodnie, kiedy uniosła głowę. - Ale nie próbuj wymykać się beze mnie - ostrzegł wesoło.

Wiedziała, że tego nie zrobi. Patrzyła za nim, jak wraca do przyjaciół i czuła wypełniającą ją i radość. A może czasem sny się spełniają? - pomyślała z nieśmiałą nadzieją.

Rozpierała ją energia. Pełna optymizmu kręciła się wśród gości, zbierając materiały do kolejnych artykułów. Miała wrażenie, że nic już nie może popsuć jej humoru.

I wtedy zobaczyła Piersa Athertona.

Jakiś szósty zmysł kazał jej unieść głowę dokładnie w chwili, kiedy wchodził do sali. U jego boku kroczyła wyzywająca, przyciągająca wzrok kobieta.

Eloise instynktownie zlokalizowała Belinę, która najwyraźniej również zauważyła męża. Cień gniewu na twarzy przyrodniej siostry nie wróżył nic dobrego. Belinda ruszyła w kierunku przybyłych. Chyba miała ochotę powiedzieć mężowi, co sądzi o tak prowokacyjnym zachowaniu.

Eloise obserwowała Belinę. Chwilę później usłyszała głośny trzask wymierzanego policzka, a zaraz potem zobaczyła, że jej przyrodnia siostra wybiega.

Chciała ruszyć za nią, ale najpierw musiała pozbyć się pożyczonych brylantowych kolczyków. Wiadomo było, że strażnicy przy drzwiach są nieczuli na wszelkie tłumaczenia. Wrzuciła kolczyki do torebki, którą wcisnęła w rękę zdziwionej Cassie. Teraz była gotowa pobiec za Belindą.

Przecisnęła się przez sporą grupkę ludzi okupujących wejście. Wybiegła na zewnątrz, ale nigdzie nie dostrzegła siostry. Wydawało się mało prawdopodobne, żeby Belinda pobiegła w stronę metra, ale nic innego nie przychodziło jej teraz do głowy. Ruszyła w tamtą stronę.

Pytała przypadkowo napotkanych ludzi, ale nikt nic nie widział. Pokręciła się chwilę po stacji metra i w jej pobliżu, jednak bez rezultatu. W końcu postanowiła wrócić do „Gullivera”.

Nagle dostrzegła jakiś ruch w jednej z uliczek. Rozpoznała sukienkę Belindy i po chwili, ku swojemu przerażeniu, zorientowała się w sytuacji. Siostrę otaczała trójka wyrostków ubranych w dresy i bluzy z kapturami.

Eloise krzyknęła głośno, kiedy jeden z napastników popchnął Belinę na ścianę.

- Pomocy! - zawołała jeszcze głośniejsze.

Pod wpływem impulsu, nie myśląc o konsekwencjach, ruszyła w stronę napastników. Dwóch z nich zaczęło uciekać, ale jeden skierował się w stronę Eloise. Popchnął ją tak mocno, że uderzyła twarzą o mur, a potem wyciągnął rękę po platynową bransoletkę na jej nadgarstku.

Męczące godziny na lekcjach samoobrony nie poszły na marne. Eloise zapanowała nad ogarniającą ją paniką. W uszach dźwięczały jej słowa trenera: „Jedyny zły ruch, to nie zrobić żadnego ruchu”. Napastnik przycisnął jej twarz do chropawych cegieł, usiłując drugą ręką zerwać bransoletkę.

- Nie! - wrzasnęła przeraźliwie i z całej siły wbiła mu obcas w stopę.

Usłyszała okropny jęk i stek przekleństw. Chwilę później była już wolna. Kuśtykający napastnik uciekał w tym samym kierunku co pozostała dwójka. Eloise podbiegła do leżącej na ziemi siostry.

- Belindo!? - Klęknęła przy niej.

Zauważyła rozcięcie pod okiem i opuchniętą wargę. I łzy na wystraszonej twarzy.

- Byłaś taka odważna. Dlaczego ja nie potrafiłam tak się zachować? - Belinda spojrzała na Eloise.

- Przesadzasz. Nie masz nic złamanego? Belinda pokręciła głową.

- Chyba nie. - Zrobiła pauzę, po czym powiedziała: - Chcieli zabrać mój zaręczynowy pierścionek.

Naraz Eloise usłyszała jakieś głosy i tupot nóg. W panice odwróciła głowę, spodziewając się najgorszego. Na widok Jema odetchnęła z ulgą.

Chwilę później znalazł się obok nich. Przyjrzał się uważnie obu kobietom, po czym spytał Belinę:

- Możesz wstać?

- Obawiam się, że nie. - Belinda znów zalała się łzami.

- Co tu się stało? - Jem zwrócił się do Eloise.

- Napadli ją. Dwóch uciekło, kiedy mnie usłyszeli...

- A trzeci? - spytał szybko Jem.

- Eloise go kopnęła.

Jem spojrzał najpierw na siostrę, potem na Eloise.

- To głupie i nieodpowiedzialne. Następnym razem najpierw zadzwoń.

- Zabawne - odparła kpiąco - ale zapomniałam zabrać ze sobą telefon.

Jem wyjął komórkę z kieszeni i wezwał pogotowie oraz policję.

- Karetka będzie za kilka minut - oświadczył po skończonej rozmowie.

Już po wszystkim, Jem jest w pobliżu... Cała energia gdzieś z niej uciekła.

Eloise poczuła się bardzo zmęczona i przestraszona.

Kilka minut później zjawił się ambulans i radiowóz policyjny. Belinda nie była w stanie odpowiedzieć sensownie na żadne pytania, więc policjant wypytał Eloise o szczegóły zajścia. Zostawiła im swoje dane i zgodziła się przyjechać na posterunek, żeby podpisać zeznania.

- Powinnaś też pojechać do szpitala. - Jem stanął u jej boku.

- Nic mi nie jest - odparła, ignorując gwałtowne pulsowanie w miejscu, w które została uderzona.

- Eloise...

- Nic mi nie jest - powtórzyła stanowczo. - Muszę tylko pojechać już do domu.

Ty zostań z Belindą.

Jem nie odpowiedział. Ponownie sięgnął po telefon. Po chwili podszedł do nich młody sanitariusz, który przedstawił się jako John.

- Jeśli ma pani jakieś urazy - zwrócił się do Eloise - powinna pani udać się z nami.

Nerwowo pokręciła głową. Chciała, żeby wszyscy gdzieś zniknęli, a ona mogła wreszcie zostać sama. Ponieważ sanitariusz nie odszedł, powiedziała cicho:

- Uderzyłam o kamień. To tylko niewinne obtarcie. John zerknął na jej policzek, po czym zwrócił się do Jema:

- Nie powinna zostawać dzisiaj sama. Na wszelki wypadek.

- W porządku. Zostanę z nią - podziękował Jem.

- A co z Belindą? Ktoś powinien z nią być.

Jem zdjął marynarkę i zarzucił Eloise na ramiona. Dopiero wtedy poczuła, że cała się trzęsie.

Spojrzała na niego z wdzięcznością. Tak bardzo go kochała.

- Moja mama jest w Londynie. Już do niej dzwoniłem. Niedługo dojedzie do szpitala i zostanie przy Belindzie.

Eloise skinęła głową ze zrozumieniem. Ruszyli w stronę „Gullivera”. Cassie stała przed wejściem, nerwowo paląc papierosa. Kiedy zobaczyła Eloise, wykrzyknęła:

- Co ci się stało?

- Trzeba było widzieć, jak skończył tamten facet. - Eloise na chwilę powrócił dobry humor.

- Stała w obronie napadniętej kobiety - wyjaśnił Jem. - Zabieram ją do domu.

Cassie oddała torebkę Jemowi i podejrzliwie przyglądała się Eloise. Ta dostrzegła znaczący błysk w oku szefowej, ale nie miała już siły na żadne komentarze. Zresztą, pomyślała, może nie ma czego komentować. Wsparła się ufnie na ramieniu Jema i ruszyli w stronę taksówki.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jem nigdy nie odczuwał tylu sprzecznych emocji naraz. Z jednej strony był dumny, że szybka reakcja Eloise uchroniła Belinę od większych obrażeń, z drugiej obawiał się tego, co może się teraz wydarzyć.

- Nie musisz zostawać ze mną. Nie mam wstrząsu mózgu - powiedziała Eloise, kiedy już wsiedli do taksówki.

- Obiecałem. - Zobaczył delikatny uśmiech na jej twarzy i poczuł ulgę. - Co się stało? Skąd wiedziałaś, że Belinda ma kłopoty?

- Zobaczyłam, że przyjechał Piersie Atherton. Widziałeś go? - zapytała.

- Tak - odparł krótko.

- Domyślałam się, że to była Corinne? Przytaknął.

- Obserwowałam Belinę i doszłam do wniosku, że nie mogę pozwolić jej odejść. Dobrze zrobiłam, że za nią poszłam.

Jem zgodził się, choć nie do końca. Wolałby, żeby nie narażała się na niebezpieczeństwa.

- A dlaczego poszłaś właśnie tam?

- To był przypadek. - Eloise się wyprostowała. - Zanim pozbyłam się pożyczonych diamentów, straciłam orientację, w którą stronę pobiegnęła.

Eloise zatroszczyła się o Belinę, myślał. A potem walczyła o nią. Jego przyrodnia siostra miała szczęście.

- Mogłaś nieźle oberwać - zauważył cicho.

Dojechali na miejsce. Jem nie pytał, czy może wejść. Z góry założył, że mu pozwoli. Musiał być teraz przy niej. Czy jej się to podobało, czy nie.

Mieszkanie wyglądało zupełnie inaczej niż ostatnim razem. Dziś było wysprzątane i pełne kwiatów.

Eloise zrzuciła buty i spojrzała na obcas.

- Chyba już się do niczego nie nadaje - zauważyła. - Mam nadzieję, że jego noga wygląda jeszcze gorzej.

- Co ty właściwie zrobiłaś? Nadepnęłaś mu na nogę?

- Oczywiście. Obcasem. Czy wiesz, że pięta jest najtwardszą częścią stopy? Metalowa szpilka tylko dopełniła dzieła zniszczenia.

Podeszła do lustra i przeczesła włosy palcami. Uśmiechnęła się triumfalnie.

- Jestem z siebie naprawdę dumna. Nigdy nie wiesz, jak zachowasz się w trudnej sytuacji.

To prawda. Jem zgadzał się z nią w stu procentach. Dotyczyło to także jego samego. Poczul się nagle jak nastolatek. Tak wiele chciał jej opowiedzieć, wyjaśnić, ale nie wiedział, od czego zacząć. Jak wyrazić uczucia, które krystalizowały się w jego sercu, skoro miał wątpliwości, czy sam je rozumie?

To chyba była miłość. Ale któż do końca poznał to uczucie? W wydaniu jego ojca miłość oznaczała kontrolę i próbę sił. W przypadku Laurence'a była to przyjaźń i akceptacja.

On sam czuł się najbezpieczniej na neutralnym gruncie.

- Wezmę prysznic. - Głos Eloise wybił go z rozmyślań. - Jeśli zdecydowałeś się zostać, czuj się jak u siebie w domu.

Został w pokoju sam. Zasłonił okna i włączył małą lampkę. W tle słyszał szum wody w łazience. Wyobrażał sobie Eloise stojącą pod prysznicem. Nagą.

Nie pozostawało mu nic innego jak czekać. Pokój był uprzątnięty. Papiery i dokumenty leżały w rogu.

Poprzez szum wody usłyszał głos Eloise:

- W lodówce jest trochę wina. Kieliszki znajdziesz w szafce. Wyjął białe wytrawne wino i kieliszki.

- Znalazłeś korkociąg? - zapytała, wychodząc z łazienki.

Była w krótkim, przypominającym kimono szlafrocisku. Jej mokre włosy wydawały się ciemniejsze niż zazwyczaj. Zmyła makijaż i teraz ślad uderzenia na policzku bardziej rzucał się w oczy.

Nie było mowy o neutralnych uczuciach. Ani o kontroli, jaką chciał mieć nad sytuacją. Pragnął tej kobiety. Nie miał co do tego wątpliwości.

Musiała wyczytać te myśli z jego oczu, bo odwróciła się szybko i powiedziała:

- Pójdę się przebrać.
- Należę wina - mruknął w odpowiedzi.

Wróciła po chwili w miękkim, domowym wdzianku. Jem nie mógł się uwolnić od myśli o jej zmysłowym ciele. Zauważył, że wystarczy jedno pociągnięcie za pasek, aby ją rozebrać.

Wyciągnął rękę z kieliszkiem.

- Dziękuję.

Jej oczy błyszczały. Włosy nieco podeschły i spadały złocistymi kosmykami na czoło.

- Czuję się o niebo lepiej.
- I tak też wyglądasz. Skąd znasz sztukę samoobrony?
- Skończyłam kurs. - Usiadła na sofie. - Kiedy byłam na uniwersytecie.

Usiadł obok niej.

- Po tym, jak kiedyś zostałam zaatakowana - kontynuowała, popijając wino.

Nic nie mówił. Czekał, aż sama skończy opowiadać.

- Wracałam do domu z imprezy. - Spojrzała na niego znad brzegu kieliszka. -

Było oczywiście bardzo późno i ciemno, a na ulicy żywego ducha. Ja jednak postanowiłam zaryzykować. Nawet się specjalnie nie obawiałam, aż do chwili, kiedy usłyszałam za sobą czyjeś kroki. Były coraz szybsze, więc i ja przyspieszyłam, a potem przebiegłam na drugą stronę ulicy.

Uśmiechnęła się. Wydawało się, że chce złagodzić wydzwięk opowieści, wprowadzając zabawne elementy.

Jem próbował wyobrazić sobie tę sytuację. Zaskoczyły go jego własne uczucia. Był wściekły na człowieka, który mógł zagrażać Eloise. Jego Eloise. Przestraszyły go te myśli.

I wtedy spojrzął na jej twarz. Pragnął dla niej wszystkiego co najlepsze: najpełniejszego życia i... szczęścia.

Nie miało to nic wspólnego z chęcią dominowania.

- I co się wydarzyło? - zapytał.

- Miałam szczęście. Szliśmy coraz szybciej po przeciwnych stronach ulicy. Na szczęście w momencie, kiedy wiedziałam, że już nie zdołam uciec, zza zakrętu wyjechał autobus i zatrzymał się koło mnie.

- Autobus? - spytał zaskoczony Jem.

- Tak Nocny. Kierowca musiał mnie zauważyć, bo zwolnił, a jeden z pasażerów pomógł mi wsiąść.

Jem ujął jej dłoń i splótł swoje palce z jej palcami.

- Miałaś szczęście - powiedział cicho. Spojrzął głęboko w jej brązowe oczy. - Powinnaś zawsze jeździć taksówką. To bezpieczniejsze.

- Nie było mnie stać.

Jem czuł, że oddałby ostatni grosz, by tylko móc zapewnić jej bezpieczeństwo.

Czy na tym właśnie polega miłość?

Od lat nie miał wątpliwości, że jego pieniądze przyciągają wiele kobiet, co najmniej tak mocno jak jego osobisty urok. Na przykład taka Brigitte Coulthard, poślubiłaby każdego, kto miałby choć część jego majątku.

Nagle zauważył, że usta Eloise drżą. I wreszcie zrozumiał.

Eloise pragnęła go. Nie dla pieniędzy, a dla niego samego. Mimo wszystkich lęków, jakie nią targały.

I on także jej pragnął.

Nic nie miało już znaczenia. Ani Laurence, ani Nessa, ani Belinda.

Liczyło się tylko to, że znalazł kobietę, która dostrzegła w nim mężczyznę, a nie jego portfel.

Wreszcie zrozumiał, dlaczego chciał pokazać jej swój dom - pragnął go z nią dzielić. Tylko z nią mógł czuć się tam dobrze.

Przyciągnął ją bliżej. Nadal odczuwał obawy. Wiedział, że jeśli teraz przekroczy pewną granicę, nigdy już nie będzie w stanie żyć bez tej dziewczyny. Wszystko opierało się na wzajemnym zaufaniu. W jej oczach także czaił się lęk.

- Zaufaj mi - poprosił.

Spojrzała na niego niepewnie. A potem się uśmiechnęła.

- Ufam.

Powoli przyciągnęła go do siebie. Miękkość jej warg i zapach ciała sprawiły, że zawirowało mu w głowie. Natrafił ręką na pasek i lekko pociągnął.

Poczuł jej napięcie i niewielki opór, a po chwili pełne oddanie.

Opanowała go euforia. Zupełnie stracił głowę. Całował i pieścił ją namiętnie, oczekując w rewanżu tego samego.

Teraz nareszcie rozumiał, na czym polega miłość. Nie obawiał się już niczego. Nie dzieliły ich żadne intrygi, sekrety ani kłamstwa.

Eloise otworzyła oczy i spojrzała na śpiącego obok mężczyznę. Był wyjątkowo przystojny, a jego opalona twarz kontrastowała z bielą poduszki.

Nigdy nie wyglądał bardziej seksownie, pomyślała. I był tylko jej.

Czy to w ogóle możliwe?

Poprosił, by mu zaufała. I tak też zrobiła. Po raz pierwszy od śmierci matki zdecydowała się komuś zaufać.

Wszystko było dla niej takie nowe i niepewne, ale obudziła się z uczuciem spokoju i bezpieczeństwa. Czowała, że postępuje właściwie.

Nadal jednak pozostawało wiele spraw, które trzeba będzie wyjaśnić, jeśli mieli zamiar być razem. Na przykład kwestia mieszkania. On nienawidził Londynu, a ona tu pracowała.

Tylko czy teraz miało to jakiegokolwiek znaczenie? Zaufała mu i wiedziała, że zrobi wszystko, aby ich wspólne życie było szczęśliwe.

Jem obudził się i uśmiechnął.

- Nadal tu jesteś - wymruczał sennie.

- Ja tu mieszkam - zaśmiała się.

- W takim razie, co robi obcy mężczyzna w twoim łóżku?

Eloise udawała, że się zastanawia.

- Cóż. Wczoraj w nocy wyglądał na samotnego, więc pomyślałam, że jeśli zaoferuję mu nocleg, to będzie samarytański uczynek.

- Już nigdy nie chcę być samotny.

- Naprawdę? Przyciągnął ją do siebie.

- Tak, naprawdę.

- Wiesz, która godzina? - zapytała po chwili.

- Nie.

- Minęła dziesiąta.

- Musimy sprawdzić, jak się czuje Belinda. Wezmę prysznic.

- Ręczniki są w szafce. Idę zrobić herbatę.

Jem spojrzał na nią i stwierdził, że to jeden z najpiękniejszych momentów w jego życiu. Przyglądał się, jak wkładała kimono. Była zbudowana jak bogini.

- Wstawaj - ponagliła go.

Nie miał siły się podnieść. Jego ciało było bezwolne, spokojne i ociężałe. Pragnął, aby ta chwila nigdy się nie skończyła. I nagle zdał sobie sprawę, że tak właśnie może być już zawsze. Tak mogłoby wyglądać całe jego życie.

- Masz zamiar zadzwonić do szpitala? - spytała Eloise, kiedy wrócił z łazienki.

- Myślę, że nie zatrzymali jej na noc. Poza tym, jeśli dowiemy się, że u niej wszystko w porządku, chętnie zabiorę cię do mojej ulubionej kawiarni.

- Myślałam, że nie znasz Londynu - powiedziała, wręczając mu kubek z herbatą.

- Znam więcej rzeczy, niż ci się wydaje. - Mrugnął porozumiewawczo.

Zaśmiała się. Jem miał wrażenie, że z ramion i serca zdjęto mu wielki ciężar. Nareszcie znalazł cel, a jego życie nabrało sensu.

Nagle zadzwieczał dzwonek telefonu. Potem drugi i trzeci, aż włączyła się automatyczna sekretarka.

- Eloise, odbierz! - Usłyszał głos w telefonie. - Jesteś tam? Tu Cassie...

Zadzwoń do mnie jak najszybciej. Chcę wiedzieć wszystko o tym bogu seksu.

Jem wstrzymał oddech.

- Masz dwadzieścia cztery godziny na to, żeby do mnie oddzwonić - Cassie mówiła dalej. - Jeśli nie, opowiem wszystko zespołowi. Aha... a co z listami? Halo! Eloise? Powiedziałaś mu, że twój ojciec to Patrick McMahon? Zadzwoń do mnie koniecznie.

Cassie rozłączyła się, a Jem siedział bez ruchu, kompletnie otumaniony. Nie mógł zrozumieć słów, które właśnie usłyszał. To wszystko nie miało sensu.

Eloise weszła do pokoju. Wyglądała jak anioł. Czerwona sukienka pięknie opinała jej figurę.

- Dzwonił telefon? Wydawało mi się, że słyszę czyjś głos.

Jem postawił kubek na stole i włączył ponownie automatyczną sekretarkę. Nie spuszczał z niej wzroku, kiedy automat odtwarzał słowa Cassie.

- Jem, ja.... - zająknęła się.

Jej twarz zrobiła się trupioblada.

- Wygląda na to, że jest coś, co powinnaś mi wyjaśnić - powiedział zmienionym głosem.

Nie podeszła do niego. Stała w drzwiach nieruchoma jak słup soli.

- Ja... miałam ci powiedzieć, że... Czekałam tylko na właściwy moment....

Dowiedziałam się, kiedy byłeś w Mediolanie...

Jem nie mógł słuchać tego ani chwili dłużej. Podniósł rękę, chcąc ją uciszyć.

Ośmieszyła go. Bawiła się nim. I prawie udało się jej osiągnąć cel. Dał się wciągnąć w jej grę. Podobnie jak Laurence. Popatrzył na nią z odrazą.

Od miłości do nienawiści jest tylko jeden krok. Bardzo mały krok. Przed chwilą właśnie go zrobił i nie zamierzał się cofać.

Nie odezwał się ani słowem. Zerwał się gwałtownie, szybkim krokiem przemierzył pokój i wybiegł. Słyszał, że Eloise go woła, ale nie zatrzymał się ani nie odwrócił.

Eloise jeszcze nigdy nie czuła tak przejmującego bólu. Nawet po śmierci mamy. Przeżyła w swoim życiu wiele smutnych momentów, ale uczucie, które ją teraz ogarnęło, było silniejsze niż wszystkie wcześniejsze. A do tego nastąpiło po chwilach największego szczęścia.

Jeśli prawdziwe jest twierdzenie, że fizyczna miłość łączy dusze kochanków w jedność, to prawdą jest również, że rozstanie kruszy ich serca na kawałki.

Podeszła do okna i patrzyła, jak Jem odchodzi. Nie odwrócił się, nie zawahał. Podjął decyzję i nie zamierzał jej zmienić. Kiedy zniknął za rogiem budynku, zgasła w niej ostatnia iskierka nadziei.

Nie wysłuchał nawet moich wyjaśnień, pomyślała.

Poprosił, żebym mu zaufała, ale sam się na to nie zdobył. Już przy pierwszej próbie ogarnęły go wątpliwości i natychmiast okazał całkowity brak zaufania.

Podeszła do stolika i odsłuchiwała kilkakrotnie wiadomość nagraną przez Cassie.

Sprawa wyglądała beznadziejnie. Nie rozumiała, dlaczego nie zechciał poczekać na wyjaśnienia.

Nawet nie miała siły, żeby się rozplakać. Czuła się całkiem bezradna.

Jem odszedł. Teraz już nic nie można było zrobić.

Odniosła jego kubek z herbatą do kuchni. Ostatni znak obecności Jema w jej mieszkaniu zniknął.

Będzie musiała to przeżyć. Jasne, że przeżyje. Przecież ludzie nie umierają z powodu zawodu miłosnego.

Ubrała się i wyszła z mieszkania. W porannym powietrzu czuło się już powiewy wiosny. Ale czy nadziei i optymizmu...?

Poszła na posterunek policji i złożyła szczegółowe zeznanie. Policjant sfotografował czerwony ślad na jej policzku. Dowiedziała się też, że dwóch wyrostków zostało złapanych. Zapewniono ją, że trzeci sprawca również zostanie ujęty. Uśmiechnęła się i obiecała pomoc, gdyby tylko była potrzebna.

Potem pojechała do szpitala, do którego pogotowie zawiozło wczoraj Belinę. Cokolwiek sądził Jem, Eloise czuła potrzebę udzielenia pomocy dziewczynie, która nadal mogła być jej siostrą. Wiedziała, że musi z nią porozmawiać. Niezależnie od tego, czy była w kontakcie z Piersem i czy jej kruche poczucie bezpieczeństwa nie zostanie ponownie zachwiane.

Dotarła na miejsce piętnaście minut przed zakończeniem odwiedzin. Pielęgniarka wskazała jej salę na końcu korytarza. Eloise wzięła głęboki oddech, przykleiła uśmiech do twarzy i weszła do pokoju.

Nie była w stanie opanować zaskoczenia. Przy łóżku Belindy siedział Jem. Spojrzył na nią i natychmiast wstał.

- Ja właśnie wychodzę.

- Nie musisz...

- I tak już zamierzałem wyjść - przerwał jej bezceremonialnie.

Ucałował pospiesznie policzek Belindy i zniknął za drzwiami.

Eloise przez chwilę patrzyła za nim, po czym odwróciła się do Belindy. Brązowo-żółte siniaki na jej twarzy nie wyglądały najlepiej.

Eloise usiadła na miejscu, z którego przed chwilą wstał Jem.

- Twoje rany nie wyglądają tak źle - uśmiechnęła się blado Belinda.

- Bo nie są poważne.

Przynajmniej nie te, które widać gołym okiem, pomyślała.

- Byłam dziś na posterunku policji - kontynuowała. - Złożyłam zeznania.

Zrobili mi zdjęcia.

- Mnie również fotografowali. Przyszli tu, do szpitala. - Belinda pokiwała głową. - Nie powiedziałaś mu.

Eloise podniosła wzrok i spojrzała na nią pytająco.

- O liście - dodała Belinda.

Eloise powoli postawiła torbę na ziemi, wahając się, co odpowiedzieć.

- Miałam zamiar, ale... ty zostałam zaatakowana... a potem... cóż, sprawy potoczyły się tak szybko. Poza tym, Jem nie chciał mnie słuchać i pewnie by mnie nie zrozumiał. A jaki ja, jego zdaniem, mam cel w tym wszystkim?

- Pieniądze.

- Ależ ja nie chcę jego pieniędzy! - krzyknęła Eloise z oburzeniem.

- Wiem o tym. I myślę, że on też wie. Daj mu szansę, Eloise. Przyjdzie do ciebie.

- Już za późno. - Eloise ze smutkiem pokręciła głową.

- To zależy tylko od ciebie. Nie znałaś Jema, kiedy pierwszy raz pojawił się w Coldwaltham. Był wyjątkowo okropnym chłopakiem.

- Mówił coś o swoim ojcu? - Eloise czuła, że w minionych wydarzeniach może kryć się odpowiedź na wiele jej wątpliwości.

- Trochę. Z tego, co wiem, był wyjątkowo paskudnym łobuzem. - Belinda zakasłała. - Właściwie, to mało powiedziane. Przy Rupercie Norlandzie mój Piers to raczej Matka Teresa. Nic dziwnego, że chłopak był jak zaszczute zwierzę. Jem, którego znasz, w niczym nie przypomina tamtego dzieciaka. Ale jego nieufność pozostała. Rany były zbyt głębokie. Potrzebuje czasu, żeby komuś w pełni zaufać. Zbyt często go okłamywano. Tata i Marie byli zaskoczeni, jak szybko potrafiłaś skruszyć jego tarczę obronną. Jem kocha głęboko i prawdziwie tylko kilka osób. Przerazałaś go, ale nie mógł oprzeć się miłości do ciebie.

Eloise nie potrafiła w to uwierzyć. Gdyby naprawdę ją kochał, wydarzenia dzisiejszego poranka nie miały prawa się wydarzyć.

- Ale on naprawdę cię kocha... Musisz zrozumieć. Jem czuje się teraz potwornie zraniony.

Eloise westchnęła ciężko. Promyk nadziei zaświecił w jej sercu. Niewielki i wąty, ale zawsze.

- Wiesz, wygląda na to, że ja nie jestem córką Laurence'a.

- To nie ma znaczenia. - Belinda pogładziła ją po głowie. - Tata ma rację. Powiedział, że jeśli nawet nie jesteś jego biologicznym dzieckiem, to powinnaś nim być.

Eloise poczuła, jak po jej policzkach spływają łzy.

- Więc jeśli nawet nie jesteś naprawdę moją siostrą, dla mnie nie ma to większego znaczenia - kontynuowała Belinda, zaciskając rękę na dłoni Eloise. - Tata powiedział mi, że w życiu kochał tylko trzy kobiety: moją matkę, aż do dnia, gdy umarła, Marie... i twoją matkę.

Eloise starła łzy z policzków.

- Uwierz mi, to naprawdę nie ma znaczenia - tłumaczyła cierpliwie Belinda. - Mogłabyś zrobić sobie test DNA. Tylko po co? Skoro to i tak niczego nie zmieni. On kocha cię jak własną córkę. I jesteś nią;

- Dziękuję ci - wyszeptwała Eloise.

- Daj jeszcze szansę Jemowi - poprosiła cicho Belinda.

Nie wydaje mi się, żeby on na to czekał, pomyślała Eloise, a głośno powiedziała:

- Muszę już iść. Czas odwiedzin się kończy. - Podniosła torebkę i podeszła do drzwi; Czowała się wyczerpana i w ogóle nie radziła sobie z emocjami.

Szła w stronę wyjścia, gdy nagle, jak przez mgłę, usłyszała głos Jema:

- Eloise?

Zatrzymała się, ale nie miała odwagi na niego spojrzeć.

- Powiniennem cię wysłuchać.

Znów poczuła łzy napływające do oczu. Nie odwróciła się. Nie chciała, by widział jej rozpacz.

Przypomniała sobie słowa Belindy: „Daj mu szansę”.

Ale jak? To on zdecydował się na rozstanie. Zawiódł ją. Podobnie jak Laurence jej matkę. Czy tego nie da się odwrócić? Czy miłość do kogoś zawsze musi być związana z cierpieniem?

- Myślałem, że świadomie oszukiwałaś Laurence'a i że pozwoliłaś mu uwierzyć w coś, co nie było prawdą.

- Nie zrobiłam tego. - Eloise zacisnęła powieki aż do bólu.

- To prawda.

Usłyszała zbliżające się kroki. Niemalże czuła jego oddech.

- Przykro mi.

Nie mogła już opanować łez. Przeprosiny nie wystarczały. Nie mogła się przełamać, żeby ponownie mu zaufać.

- Nie wiem, kto naprawdę jest moim ojcem - próbowała wytłumaczyć. - Myślę, że może nie jest nim nawet ten tajemniczy Patrick McMahon.

Przez chwilę wydawało się jej, że Jem ją przytuli, ale nie zrobił tego, choć stał bardzo blisko. Otarła więc łzy i zrobiła kilka kroków, żeby zwiększyć nieco dystans między nimi, po czym się odwróciła.

- Jak się okazuje, tak naprawdę nie znałam nawet własnej matki. Straciłam wszystkich... i to wcale nie ze swojej winy. To... to nie była moja wina. - Głos jej się załamał i już nie próbowała powstrzymać kolejnego potoku łez.

- Kocham cię - powiedział cicho Jem.

Skrzyżowała ramiona, jakby chcąc odgrodzić się od niego i od bólu, jaki mógłby ponownie jej zadać.

- Kocham cię - powtórzył, podchodząc bliżej. - Otoczył ją ramionami. - Przepraszam. Tak bardzo mi przykro - wyszeptał, gładząc jej włosy. - Zawsze będę cię kochał.

Odsunęła się, więc natychmiast wypuścił ją z objęć. Ale ona nie odeszła ani kroku w tył. Popatrzyła tylko w jego oczy i zobaczyła w nich miłość. Prawdziwą i tylko dla niej. Uśmiechnęła się.

- Ja też cię kocham. Powinnam wcześniej ci powiedzieć o...

- Pierwsze zdanie w zupełności mi wystarczy - przerwał pośpiesznie.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Teraz on zajął jej w oczy.

- Zostań moją żoną - poprosił. Zamarła, ale powtórzył:

- Zostań moją żoną.

Skinęła głową. Nie była w stanie wykrztusić ani słowa. Ale Jem chyba ją zrozumiał, bo znów ją przytulił i trzymał mocno w ramionach.

Nie miała pojęcia, jak długo stali tak objęci i nie potrafiłaby nawet powiedzieć, czy ktokolwiek koło nich wtedy przechodził. Wreszcie czuła się bezpieczna.

To był początek nowej historii. Ich historii.

EPILOG

Eloise brakowało mamy. Dziewczyna zawsze potrzebuje matki w dniu swojego ślubu.

Na pewno spodobałoby jej się to, co zaplanowali. Wystawne przyjęcie, ślub z pompą w sierpniowe popołudnie. Coś, czego sama nigdy nie miała.

Eloise starannie wybrała swój bukiet, który miał symbolizować wszystkie jej nadzieje na przyszłość. Kwiaty jabłoni - jako symbol lepszego jutra i mirt - symbol wiecznej miłości.

- Gotowa? - Belinda weszła do pokoju, ubrana w elegancką suknię w kolorze letniego nieba.

Eloise skinęła głową.

- Boisz się?

- Nie.

Nie było w jej życiu niczego, czego byłaby bardziej pewna. Nie miała się czego lękać. Schodziła długimi schodami w Coldwaltham Abbey na spotkanie Jema. Wiedziała, że już nigdy nie będzie musiała się niczego bać. Oboje zbyt wiele wycierpieli w przeszłości, aby ryzykować stratę tego, co wspólnie odnaleźli. Wiedzieli, jak cenny jest to dar.

Laurence czekał na dole, a jego twarz jaśniała ojcowską dumą.

- Pamiętam Marie w tej sukni. - Podszedł i podał Eloise rękę.

Eloise zgodnie z tradycją miała na sobie coś pożyczonego, i to wcale nie był drobiazg. Była poruszona wspaniałym gestem Marie, kiedy ta zaoferowała jej swoją suknię i welon. Klasyczny krój gwarantował ponadczasową elegancję.

- Wyglądasz pięknie.

- Dziękuję.

- Marie czeka na nas w kościele.

Eloise poczuła, jak szczęście, niczym bąbelki szampana, uderza jej do głowy. Przed drzwiami kościoła zatrzymała się, by ucałować Belindę i zakryć twarz welonem. Potem ujęła ramię ojca.

Tak, ojca. Przecież Laurence mógł być jej prawdziwym ojcem. I był nim w najważniejszej chwili jej życia.

Po jednej stronie kościoła siedział cały zespół „Image”. Tylko Cassie, przystrojona w dziwaczny kapelusz, nadal była nadąsana, bo nie dostała pozwolenia na filmowanie ślubu.

A przed ołtarzem stał Jem. Serce Eloise zadrżało z miłości. Podeszła bliżej, a on ujął ją za rękę.

To był cudowny dzień. Dokładnie taki, jak sobie wymarzyła. Jem niskim, pewnym głosem wypowiedział słowa przysięgi, a potem wsunął na palec Eloise platynową obrączkę. Odwieczny symbol miłości i wierności...

W końcu ksiądz ogłosił ich mężem i żoną. Na zawsze.

Przy dźwiękach marsza weselnego Jem poprowadził ją przez kościół na zalany sierpniowym słońcem dziedziniec. Uśmiechnęła się do niego, a na jej pięknej twarzy pojawił się wyraz bezgranicznego zaufania.

Zanim podeszli goście, by złożyć młodej parze życzenia, Jem wyjął jeden kwiatek ze ślubnego bukietu i zacisnął jej palce wokół niego.

Spojrzała pytająco.

- Przeczytałem pewną duńską maksymę - powiedział, otwierając jej dłoń i ukazując zgniecioną łądyżkę.

- Co to za maksyma?

- Miłość jest jak cenny kwiat. Nie wystarczy go wielbić i podziwiać. Musisz go także kochać i chronić. - Strzepnął płatki z jej dłoni. - I być gotowym oddać za niego życie.

Eloise nie potrzebowała już nic więcej. Zrozumiała wszystko, co chciał jej powiedzieć. I wierzyła w obietnice, jakie składał. Ona także była gotowa na taką deklarację.

- Kocham cię, pani Norland - szepnął, całując jej usta.
- Ja też cię kocham - odpowiedziała szeptem.



RS